


R A D O S Ł A W
N O W A K O W S K I

F U
T U
 R O

o p o w i a d a n i a
n i e c a ł k i e m
f a n t a s t y c z n e

Wszystkie opowiadania powstały w okresie od kwietnia do lipca 2020 roku. Kto chce, niech je łączy z czasem zarazy, kto nie chce, niech tego nie robi.



OBCHOBORY

Teraz, po kilkudziesięciu dekadach, nikt już nie wie, skąd się wziął ów ceremoniał tak porywający w swej prostocie, powalający emocjami. Niczego takiego wcześniej nie było i niczego takiego nie będzie później – w to nikt nie wątpił, nikt bowiem nie wątpił i w to, że przyszłości nie będzie, a przeszłość, chociaż, owszem, była, to tak zamazana i niejasna, że nie warto o niej wspominać.

To istotne. To zamazanie. Kontrastowało ono bowiem z ostrością Początku. Ten był wyznaczony konkretną datą. Rok, dzień, godzina, wszystko pozostawało niezmiennie, stanowiło punkt odniesienia dla Wszechświata. To była nowa Osobliwość, prawdziwie osobliwa, nie tak jak Wielki Wybuch, w sumie dosyć mętny, raczej wizja niż udokumentowany w pełni fakt; pamięć o nim kultywowali już nieliczni, powoli i sukcesywnie wymierający i zabierający ze sobą wiedzę o nim, poszerzając stopniowo otchłań ignorancji, której i tak prawie nikt już nie dostrzegał.

Zatem, jest oto wszechogarniająca mgła, powszechny bełkot i rozmycie, i jest jeden punkt, stały, niezmienny, wokół którego ta ogromna mgławica, składająca się z mnóstwa małych mgławic,

wręcz mgławiczek, wiruje. Niech sobie wiruje. Nikt się teraz tym wirowaniem nie przejmuje. Wszyscy skupiają się na tym punkcie i już im się w głowach nie kręci, myśli im się nie plączą, obraz wszystkiego jest jasny, tak jasny jak nie był nigdy przedtem ani nie będzie nigdy potem. Jeśli będzie jakieś potem, bo, jak już wiemy, przedtem odcho-
dziło w niebyt wcale nie tak powoli.

Jednak jakieś szczątki historii jeszcze walały się tu i ówdzie beładnie porozrzucane. I z nich wynikało, że już nieraz tak bywało, iż jedno zdarzenie, przez jakże wielu w ogóle nie zauważone wtedy kiedy miało miejsce, potem okazywało się kolejnym punktem początkowym, rokiem zerowym nowego kalendarza. Wtedy jednak jeszcze było potem.

Nie jest to zatem nic szczególnego. Tym bardziej nie było to niczym szczególnym tutaj. I tym bardziej było to nieszczególne, że oto wydarzenie, które wyglądało na dzieło Szatana, okazało się dopustem Bożym i odmieniło oblicze tego kraju. I mógłby to być całkiem dobry, logiczny dowód na jedność Boga i Szatana, na pewno jednak nie tutaj, gdzie logika dawno temu poszła w niepamięć i została zastąpiona szemraną

symboliką i przekonaniem o potędze nieszczęścia. Nic tak nie wyróżnia jak nieszczęście, co wiadomo od dawna, w związku z tym kraina nieszczęśliwości czuła się wywyższona ponad wszystkie inne krainy. Dlatego też niczego nie ceniono tu tak jak klęsk – dlaczegoż jednak miano by ich nie cenić skoro zawsze wychodziły krajowi na dobre?

Nie było wątpliwości co do daty i godziny Wydarzenia. Nie było też wątpliwości co do miejsca. Nie było też żalu co do tego, że wydarzyło się to nie tu, na ziemi błogosławionej, lecz tam, na ziemi przeklętej. To znacznie lepiej. To dzięki temu wszystko od początku zostało spowite mgłą domysłów, utonęło w bagnie mniemań i przypuszczeń. Tu wszystko stałoby się zanadto przejrzyste i wtedy byłoby źle. Tu Wydarzenie straciłoby swą symboliczną moc, a wraz z nią także dużą literę na początku i wtedy nie stałoby się to, co się stało. Stałoby się coś zupełnie innego, coś bardzo złego, coś tak niedobrego, że nie warto sobie tym zaprzętać głowy. To wydaje się dziwne, że Wydarzenie, o tak dokładnej dacie i miejscu, jest tak niejasne w swej istocie. Wiadomo, że doszło do katastrofy samolotu,

w której zginął Prezydent i jego świta. To też jest niepodważalne. I chyba już tylko to. Cała reszta, wszystko inne co wiąże się z Wydarzeniem zostało podważone. Jeśli chodzi o inne Wydarzenia (używamy dużej litery trochę z przyzwyczajenia – nie powinniśmy tego robić, bo nawet jeśli kiedyś wyznaczały one nowe punkty zerowe na osi czasu, jak również punkty kardynalne, cokolwiek by to miało znaczyć w ich przypadku, w przestrzeni, na mapie świata, to po WYDARZENIU przestały one znaczyć cokolwiek, nawet nie da się ich traktować jako zapowiedzi, jako prorocstwa) to problem z nimi polegał na tym, że zważywszy ich zamierchłość, niewiele o nich wiedzieliśmy, z reguły mieliśmy do czynienia z legendami, które niezbyt udatnie próbowały zastąpić fakty, a tych była nawet nie garść, lecz garstka. Teraz sytuacja była odwrotna, więc niejako przeciwna, przez to paradoksalna: mieliśmy za dużo informacji. Ogrom ten przytłaczał, rósł i rósł, stawał się monstrualny i ci, coraz to mniej liczni, którzy ośmielili się z nim zmierzyć niczym z mitycznym smokiem, ginęli marnie wciągnąwszy w płuca ledwie jeden smoczy wyziew, a jeśli to potrafili przeżyć, przygniatało

ich monstrualne cielsko, lub gubili się w nieskończonych mrocznych labiryntach, gdzie bynajmniej nikt ich nie szukał pozwalając im oszaleć całkowicie i ostatecznie. Więc nikt już się tym nie zajmował. Po cóż mieliby to robić, skoro lud pławił się w szczęściu, którego podstawę, jakże solidną i niewzruszoną, stanowiła z takim trudem zdobyta wolność w swym najbardziej powszechnym i podstawowym, a przez to najbardziej pożądanym wariacie, polegającym na swobodnym wyborze formy zniewolenia. A jako że i taki wybór okazał się zbyt ciężkim obciążeniem dla skołatanych umysłów, pozwalano, by dokonywała go Tradycja, byt na tyle nieokreślony i rozmazany, że odporny na wszelkie zarzuty i pomówienia, nie przyjmujący też na siebie żadnej odpowiedzialności, bo nadzwyczaj zręcznie, wręcz magicznie przekształcający się w niebyt. A co zrobisz niebytowi? Nic.

Co ciekawe, ów punkt zerowy, tak jasno wyznaczony, nie był jedynym punktem zerowym. Był jeszcze jeden. Ten drugi pojawił się jakby jakiś cień, jakby ten pierwszy ciągnął za sobą smugę, która wreszcie przybrała nieco bardziej określony kształt. Tak się złożyło, że nastąpiło to dokładnie

dziesięć lat po Wydarzeniu. Łatwo zrozumieć dlaczego czas jest liczony w dekadach. Chociaż na początku obchodzono nie tylko rocznice, lecz także miesięcznice, a nawet tygodnice i dnice (godzina, o której To się stało, nie została przeklęta, ani też uprzywilejowana i podniesiona do rangi Momentu Najosobliwszego, lecz po prostu ją pomijano, przeskakiwano, co u zbyt gorliwych obchodzących powodowało drobne zakłócenia w dziennym rozkładzie zajęć, oraz bardzo poważne, jeśli ten obchodzący był akurat motorniczym tramwaju lub kierowcą autobusu albo, o zgrozo, chirurgiem), po Wydarzeniu, przewagę uzyskała dekada, by z czasem odnieść absolutne zwycięstwo w świadomości ludu obchodzącego... Wydarzenie było czymś zupełnie innym niż Wydarzenie. Głównie dlatego, że nie było punktem, lecz plamą. Nie dało się określić nawet dnia, a tym bardziej godziny. Nie dało się określić tygodnia, nawet z miesiącem byłby kłopot. Za najprecyzyjniejsze uznano by stwierdzenie wiosną, bo wtedy, dziesięć lat po Wydarzeniu, wiosnę dało się jeszcze rozpoznać, choć kwiecień bardziej przypominał lato, aczkolwiek nie każdego dnia. Z określeniem miejsca był jeszcze większy

problem niż z określeniem czasu, niemniej wiele wskazywało, że pierwszy zamysł, bardzo mglisty, pojawił się w umyśle człowieka, którego status teraz jest tak nieoczywisty, jak oczywisty był wtedy. Wtedy ów człowiek uważany był za brata bliźniaka Prezydenta i nikt nie poddawał tego w wątpliwość – teraz niezliczone wątpliwości raczej nakazywały uznać go za postać mityczną, za awatara, za kolejne lub równoległe wcielenie, za mistycznego sobowtóra, za hologram, on sam przecież swymi w kółko powtarzаныmi wypowiedziami dawał pożywkę tym wątpliwościom, mówiąc, że nie dorasta nawet do pięt Prezydentowi, co pokazywał podchodząc do pomnika stojącego na niezbyt wysokim cokole i rzeczywiście czołem nie sięgał podeszew ciemnawo połyskującej, metalowej figury trochę ponadnaturalnej wielkości. Prawdopodobnie te nieustanne zapewnienia o niespotykanym dotąd fenomenie tej niewysokiej osoby, o jej absolutnej nieprzećiętności, wręcz nadludzkiej inteligencji i przenikliwości, o niewyobrażalnych wręcz zasługach dla świata, których nikt nie potrafił wymienić, tyle ich było, sprawiły, iż poczęła się w jednym z najmroczniejszych zakamarków jego skomplikowanego

niestłuchanie umysłu, nie bliźniaczego lecz bliźnowatego, rodzić idea połączenia wyborów z obchodami. Tak się bowiem złożyło, że panująca na świecie pandemia uniemożliwiła wybranie kolejnego, trzeciego po Wydarzeniu, prezydenta. Potraktowano ją jako znak, jako dopust boskoszatański i przedłużono kadencję. Potem przedłużano ją jeszcze kilka razy, aż w końcu stwierdzono, że nie ma sensu wybierać prezydenta, bowiem żaden nie dorówna temu, który zginął. Co najwyżej można próbować znaleźć kogoś, kto stałby się jego cieniem, nędznym odbiciem i za zadanie miałby jedynie przedłużać pamięć. I nic więcej. Żadnych funkcji choćby reprezentacyjnych – bo co i kogo miałby reprezentować i przed kim? Wyборы wypadają tamtego roku jakiś miesiąc po obchodach dziesiątej rocznicy Wydarzenia, więc nieomal w tym samym czasie, jakby chciały wskazać, że same nie mają już sensu. Czy to już wtedy ów mroczny umysł zaczął próbować łączyć wybory z obchodami co później przerodziło się w ogólnonarodową, ogólnoludową, kłótnię co lepsze: borchody czy wychody czy obbory czy wybody czy jakaś inna kombinacja (nigdy nie znaleziono zadowolającego rozwiązania i sprawa

odeszła w niepamięć jako niechlubny przykład powszechnego szaleństwa, co w rzeczywistości było ostatnim przejawem myślenia logicznego i niechorego rozsądku).

Tu należy wspomnieć o dwóch zjawiskach, jakże różnych, pozornie niedających się ze sobą połączyć, a jednak stanowiących istotne elementy tej doprawdy niezwyklej układanki.

Czarny Obiekt nie był zwykłym pomnikiem, był ze wszech miar pomnikiem zjawiskowym. Oto bowiem kilka lat po Wydarzeniu na głównym placu głównego miasta zjawiała się ni stąd ni zowąd, właśnie dokładnie tak, tajemnicza bryła. Zapewne odlano ją z betonu, a beton obłożono czarnymi, polerowanymi płytami z materiału, który wydawał się szlachetny, lecz mógł szlachetność tylko udawać; ktoś kto podszedł bliżej, widział wyraźnie cieniutkie linie precyzyjnych spoin. Ta bryła to płaski prostopadłościan przecięty prawie po przekątnej, po linii nie prostej, lecz łamanej, schodkowej. Tak oto na wielkim, szarym placu zjawiała się abstrakcja, nie czysta, lekko zabrudzona niejasną symboliką, lecz jednak abstrakcja. Niektórzy dopatrywali się w niej schodów prowadzących prosto do nieba, inni widzieli nie

tyle schody, co trap, po którym wchodzi się do samolotu (który to samolot należało sobie wyobrazić, co zapewne stanowiło niejakię rozczarowanie – wielu wolałoby zobaczyć prawdziwy samolot z wizerunkiem Prezydenta za szybą owalnego okienka), nikt nie dostrzegął płetwy czarnego rekina wynurzającej się z gładkiej tafli betonowego morza, co mogło dziwić, albowiem liczba tych, którzy oglądali film o potworze ludojadzie wielokrotnie przewyższała liczbę tych, którzy czytali opowieść o uciekającym białym wielorybie. Abstrakcyjne, czarne schody donikąd dziwiły tym bardziej, że w cenie była wówczas szpetota i bezguście, chamstwo stało się powszechne, bezwstydne i manifestacyjne, lud uwielbiał kicz i w kiczu się pławił, a z nim pławiła się wszelka władza. Kto i dlaczego pozwolił na Czarny Schody? Kto zgodził się na coś takiego, coś subtelnego i wyrafinowanego? Czyżby już wtedy myślano o Czarnym Obiekcie nie jako o prawie abstrakcyjnej rzeźbie, lecz właśnie o budowli mającej konkretną funkcję? Na pewno autor wyobrażał sobie jedynie wieńce i wiece, nic ponadto. Bo czy to w ogóle możliwe, by myśl wybiegała aż tak bardzo naprzód? A jeśli to była Myśl?

Pewnym usprawiedliwieniem dla Czarnego Obiektu niech będzie to drugie zjawisko, wtedy już wykazujące oznaki przesilenia, powolnego zanikania, zaś w momencie Wydarzenia pozostające w nieustającym rozkwicie, który zdawał się wieczny i absolutny. Nie wiadomo dlaczego tu-tejszy lud umiłował ponad wszystko skoki na nartach. Nikt nie próbował tego wytłumaczyć, tak jak nikt nie próbuje przeprowadzać dowodów aksjomatów. Ten lud nie był jedynym takim ludem. Było jeszcze kilka innych ludów, które wykazywały mniejsze lub większe, niekiedy nawet ogromne zainteresowanie tym jakże niepopularnym gdzie indziej, wręcz nieznanym, sportem. To zainteresowanie nigdy nie przekroczyło jednak owego magicznego progu, za którym staje się właśnie uwielbieniem odrzucającym wszelką logikę i jakikolwiek rozsądek. Latanie na nartach i latanie samolotem mają ze sobą coś wspólnego, nikt temu nie zaprzeczy. Znacznie mniej wspólnego mają ze sobą wchodzenie po schodach i zjeżdżanie ze skoczni, chyba że za obszar wspólny uznamy wchodzenie po schodach na skocznię. Właśnie. Żeby zejść, trzeba najpierw wejść. Żeby zeskoczyć, trzeba się najpierw wspiąć.

Nawet najgłupszy lud nie zrezygnuje z podstawowych, żelaznych zasad; nawet jeśli je odrzuci, to i tak będzie według nich postępować. Każda sprzeczność jest sprzeczna tylko z pozoru.

Pamiętajmy, że nie stało się to nagle. Tylko Wydarzenie było punktem. Przeszyciem włócznią. Odrąbaniem głowy. Przestrzeleniem serca. Reszta była procesem. Linią. Plamą. Powoli rozwijającym się nowotworem, o którym nikt nie wiedział, że się rozwija, bowiem w swej chytrłości dawał ludowi czas na przyzwyczajenie się. Ostatecznie rozróżnienie między zdrowiem a chorobą w dużym stopniu jest sprawą umowną, a jeśli tak, to można się umówić inaczej. Kiedy stan choroby jest stanem permanentnym i wszechogarniającym, przejaw zdrowia będzie uznany za chorobę jako zagrażający naturalnej homeostazie choroby. Jeśli jeszcze na początku nieliczni byli świadomi owego procesu, to z biegiem dekad stawali się coraz mniej liczni, a popadając w niemal całkowitą bezsilność perswazyjną, w kompletną niemoc przekonywania i tłumaczenia, zamilkli, szczęśli i zniknęli.

Jak to bywa z rytuałami, rutyną i wszelkimi zwyczajami wymyślały się same, niekonstytucyjnie

i pozadekretowo. Z czasem sankcjonowano je na piśmie, czyli stawiano kropkę nad i od dawna już gotowym, pięknie wykaligrafowanym, pysznącym się finezyjnym zaokrągleniem.

Tak też było z poszerzeniem placu. Decyzji, która zapadła, nie traktowano jako fanaberię, lecz jako oczywistą konsekwencję. Skoro Wydarzenie rozpoczęło nowy kalendarz i stało się punktem zerowym, czyli środkiem czasu, środkiem historii, to Czarny Obiekt musiał się stać kiedyś środkiem świata, środkiem przestrzeni. Zapewne minie kilkanaście lub kilkadziesiąt kolejnych dekad, a świat zamieni się z kulistego, geoidalnego, w płaski, trudno bowiem twierdzić o punkcie na powierzchni kuli, że jest jej środkiem (choć nie jest to niemożliwe). Wtedy ważniejsze, bo wyraźnie widzialne i namacalne, wydawało się to, że środek świata nie powinien znajdować się gdzieś z boku placu, co mogłoby jednak świadczyć o jakimś szczątkowym, dogorywającym poczuciu estetyki, objawiającym się skłonnością do preferowania symetrii środkowej, promienistej i promiennej. Już wtedy kwestia rozbieżności przestrzennej między miejscem Wydarzenia a usytuowaniem Obiektu od dawna przestała

spędzać sen z powiek. Uznano ją za nierozwiązywalny paradoks przestrzenny, niewytłumaczalną bilokację i superpozycję i już do niej nie wracano. Zaś niecentralne usytuowanie Obiektu raziło, o bardzo raziło, kłuło w oczy nie do wytrzymania. Przesunięcie Obiektu, choć łatwiejsze, nie wchodziło w grę. Pozostawało poszerzenie placu. Porzucono kontrowersyjny pomysł odbudowania zburzonego pałacu, który kiedyś stanowił jedną z pierzei. Zburzono za to hotel, który stanowił pierzeją prostopadłą do tej pałacowej, i który kiedyś uważano za symbol nowoczesności i luksusu, zaś jego złotawo opalizujące szyby w kwadratowych oknach lekko wysuniętych przed lico białej elewacji wprawiały w zachwyty i zdumienie lud przyzwyczajony do siermiężnych, tandetnych bloków. Teraz plac przybrał kształt ogromnego owalu, a Obiekt lśnił pośrodku niczym czarne słońce, wokół którego krążą planety i asteroidy. Och, raczej lśniącej Centralnej Czarnej Dziury wokół której obraca się Wszechświat... Hotelu nikt nie żałował. Kraj pustoszał i pustoszał. Odkąd stał się prawdziwym, właściwym i jedynym Państwem Środka, w przeciwieństwie do tego, które oszukiwało

i mamilo ludzkość przez kilka tysięcy lat i czemu wreszcie położono kres, mało kto tu zaglądał, pokoje świeciły więc pustkami. Przerabianie ich na mieszkania też nie miało sensu, kto by w nich zamieszkał, lud skurczył się, zmniejszył i skarłał. I tak jak mało kto tu przyjeżdżał stamtąd tu, stąd tam też mało kto jeździł. Wszędzie było tak samo gorąco, a jeśli nie tak samo, to tylko trochę mniej lub trochę bardziej. Tu i tam wycięto lasy, tam i tu rzeki wyschły, choć tu bardziej niż tam, niż gdziekolwiek, lecz i tak tam i gdziekolwiek było znacznie gorzej niż tu. Nieporównanie gorzej. Tu przynajmniej był Środek. Nigdzie indziej. I dobrze, że nikt o tym nie wiedział, że nikogo to nie interesowało. Można było spokojnie cieszyć się wolnością i żyć według oddekadnych praw nowej natury. Niech sobie wszyscy wirują wokół nas – my trwamy w bezruchu, w niewyobrażalnym przez innych spokoju, w nieosiągalnej przez innych błogości.

Tak to było. Raz na dziesięć lat nadchodził dzień, podobno wiosenny, choć wiosen już od dawna nie było, kiedy lud zbierał się na placu. (Cały lud – chyba nie przewidzieli tego projektanci, że nadejdą takie czasy, iż ów powiększony, wydawałoby

się taki ogromny plac pomieści wszystkich, a jednak... nie przewidzieli tego, że lud i naród aż tak skarleją, a jednak...) Obchodzący i Wybrani. Obchodzących było mnóstwo, wielka niepoliczalna masa. Wybranych było nie mniej niż dziewięćdziesięciu i nie więcej niż stu. Dokładna liczba była omijana, tak jak omijany był powtarzający się co dwadzieścia cztery godziny Moment. Najpierw wszyscy obchodzili Czarny Obiekt, krążyli wokół niego niczym ciała kosmiczne, bo przecież ani niebieskie, ani niebiańskie. Podobno gdzieś kiedyś inny lud też tak krążył wokół czarnej skały, ale wcale nie należało się tym przejmować. Zresztą i tak nikt tu o tym nie pamiętał, bo i co tu pamiętać, czym sobie głowę zawracać? Ani tam nie było środka świata, kamień był zwykłym kamieniem i nie naruszał tej zwyczajności nawet fakt, że spadł z nieba; ileż to różnych kamieni mniejszych i większych, szarych i czarnych spadło z nieba przekreślając unikalność takiego zdarzenia, skutecznie kasując jego osobliwość. Tamten lud rodził się kłamliwy, żył kłamliwie i umierał w kłamstwie. Inne też, choć może nie aż tak bardzo... Natomiast TU wszystko odbywało się z godnością, ludzie kroczyli wolno

i dostojnie, jakby tańczyli, podczas gdy tamci tłoczyli się w jakimś szale, niezdrowym zapamiętaniu... Tak, właśnie tak. Wolno i dostojnie. Jakby tańczono poloneza. Czyli chodzonego. Na trzy. Lekko uginając nogi przy pierwszym kroku i lekko skręcając tułów przy dwóch następnych. Żadna tam nieskładna bieganina. Nikt nie zbliżał się do Czarnego Obiektu. Nikt nie próbował go dotykać, a tym bardziej całować. Pierwszy, najbliższy krąg Obchodzących stanowili dostojnicy i najwyżsi rangą funkcjonariusze. Oni wyznaczali krawędź pustej przestrzeni, w której zgromadzili się Wybrani. Wybranych nie wybierał nikt poza nimi samymi. Decydowała kolejność zgłoszeń. To wszystko. Kiedyś dosyć istotne było także kryterium wzrostu, lecz w miarę jak lud karła przestało mieć zastosowanie. Po co komplikować sprawy proste? Teraz oni tworzyli najciaśniejszy krąg. Teraz oni mieli prawo dotknąć Obiekt. Lecz go nie dotykali. Po co gmatwać to co proste? Obchodzili Obiekt tak jak zgromadzony na placu tłum, nie musieli jednak poruszać się krokiem tanecznym. Oni, jako Wybrani, mieli prawo do kroku dowolnego, do takiego, który pozwalał na osiągnięcie największego skupienia, maksymalnie

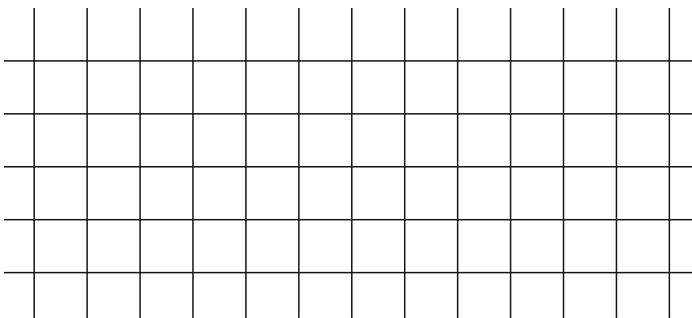
mobilizował całe ciało, wszystkie mięśnie, by dokonać rzeczy wspaniałej. Nikt nie czekał na zmianę warunków, te były takie same dla wszystkich niezależnie do tego jak wiatr hasał, jaka była temperatura i suchość powietrza. To się zupełnie nie liczyło. To na nic nie wpływało. Istotne było tylko to, kto zacznie, lecz w przeciwieństwie do wyścigu kolarskiego na torze, liczba przygotowawczych okrążeń nie była ograniczona. Teoretycznie mogło się zdarzyć, że będą tak długo obchodzić Obiekt, aż padną ze zmęczenia. To jednak nie rozwiązywało sprawy, nie dawało żadnych forów, nie przybliżało do zwycięstwa, ba! nawet od niego oddalało. Niemniej skok otwierający był niesłychanie ważny, gdyż ustanawiał punkt odniesienia. Nie należało liczyć na to, że najpierw na wpół, a potem całkiem oszalały tłum straci zdolność oceniania. Co to to nie. Wszyscy byli wyposażeni w gen oceny i znanstwa przekazywany od tyłu pokoleń, niemutujący, zapewniający niczym niezmaconą przenikliwość, która pozwalała dostrzec najdrobniejsze odchylenia od idealnej sylwetki. Więc kiedy mięśnie wytarczająco się rozgrzały, a Obchodzący jeszcze nie osiągnęli euforii, choć już im niewiele

brakowało, któryś z Wybranych przerywał krąg, wyskakiwał z niego, wbiegał po czarnych schodach na niewielką kwadratową platformę i rzucał się w dół.... nie: skakał.... nie: spadał.... nie: zrywał się do lotu.... chyba tak.... chyba tak należałoby to określić. Lub startował. Bo to miał być lot, a nie spadanie. Dlatego nikt nigdy, przenigdy nie porównywał tego do skoków do wody z wieży, bo nie o to przecież chodziło, zupełnie nie o to. Chodziło o latanie, nie o spadanie. O lot taki jak na nartach, o takie właśnie ułożenie ciała, nie o salta i śruby, nawet nie o beczki. Co najwyżej można było pomachać trochę rękami, zamienić je w skrzydła, bo to stanowiło tutejszy oryginalny wkład w rozwój tej dyscypliny, szkoda, że już w jej zupełnie schyłkowej fazie, kiedy to dogorywała razem z zimami, a potem zniknęła całkowicie, pozostając jedynie w pamięci zbiorowej tego ludu, tłumu Obchodzących i garstki Wybranych, zaś jedynym jej widocznym śladem było to, co działo się w ten szczególny dzień raz na dziesięć lat...

Po tym, który stawał się pierwszym skaczącym z Wybranych i zyskiwał rekompensatę za odwagę w wysokości jednej dziesiątej punktu, czyli westchnienie tłumu, po schodach wbiegał drugi, czyli

ten który szedł zaraz za pierwszym, i odlatywał. Po nim trzeci i następni. I tak skakali w kółko, bez przerwy, bez podziału na serie i kwalifikacje. Do skutku. A tłum Obchodzących szalał. Wył i wiwatował. Dął w trąby. Unosił się w zachwycie. Porywał do lotu, w nadziei, że za dziesięć lat dołączy do Wybranych. Zwyciężał ten, kto roztrzaskał się najpiękniej. Stawał się Cieniem i jego niewyraźny, rozmyty, zdeformowany, puciołowaty wizerunek zawieszano w każdym pomieszczeniu pałacu, od toalety po reprezentacyjną salę lustrzaną. Nazwiska pozostałych Wybranych, przegranych, ryto bardzo drobnymi literkami na którejś z dolnych czarnych płyt Obiektu. Potem Obchodzący zamieniali się w Rozchodzących, by pogrążyć się na kolejną dekadę w rozpamiętywaniach i oczekiwaniach.

Placu nie sprzątano. Zabójczy słoneczny żar wysuszał szczątki na pył, a gwałtowne poddmuchy wiatru porywały go i niosły precz donikąd.



LOKUSTA MIGRATORIA

N i k t z n a s n i e w i e j a k p r
z y s z e d ł n a ś w i a t N i k t z
n a s n i e w i e s k a d s i ę w z i
ą ł W i e m y j e d y n i e c o n a m
o p o w i a d a j a C o m y s o b i e
s a m y m o p o w i a d a m y N i e m
a ż a d n y c h i c h a n i o n y c h
J e s t e ś m y t y l k o m y N i g d
y j e d n a k n i e m a m y p e w n o
ś c i c z y c z e g o ś n i e z m y ś
l i l i ś m y C z a s a m i z m y ś l
a m y D l a z a b a w y N i e j e s t
e ś m y p o n u r a k a m i L u b i m
y s i ę b a w i ć N a s z e ż y c i e
j e s t z a b a w a P i ę k n i e s i
ę b a w i m y W s p a n i a l e W o g
ó l n y c h z a r y s a c h w s z y s
t k o s i ę z g a d z a J e s t c a ł
k o w i c i e w i a r y g o d n i e i
w i e l o k r o t n i e p o t w i e r
d z o n e N a t o m i a s t s z c z e
g ó ł y j a w i a s i ę p o d e j r z
a n e N i e p r z e c z y m y N i e k
i e d y s u g e r u j a ż e o g ó l n
e z a r y s y s a z m y ś l o n e N i
e w s z y s t k i e J a k a ś i c h c
z ę ś ć T a k j e s t c i e k a w i e
j N i e w s z y s t k o t e ż j e s t

j a s n e i k l a r o w n e N a p r z
y k ł a d w y r a ż e n i e p r z y c
h o d z i ć n a ś w i a t j e s t d o
s y ć m ę t n e J e s t m e t a f o r
ą N i e n a l e ż y r o z u m i e ć g
o d o s ł o w n i e K a ż d a m e t a
f o r a m a w s o b i e o d r o b i n
ę d o s ł o w n o ś c i T r u d n o t
e m u z a p r z e c z y ć Z a t e m z
a n i m t u p r z y b y l i ś m y b y
l i ś m y g d z i e i n d z i e j i s
t a m t ą d p r z y s z l i ś m y T o
b u d z i n i e p o k ó j i j e s t ź
r ó d ł e m n i e k o Ń c z ą c y c h
s i ę d o m n i e m a Ń i s p e k u l
a c j i L e p i e j z a t e m u ż y w
a ć o k r e ś l e n i a p o j a w i ć
s i ę T e ż n i e z b y t p r e c y z
y j n e Z p e w n o ś c i ą d o k ł a
d n i e j s z e n i ż p r z y j ś ć n
a ś w i a t - b o d l a c z e g o n i
e p r z y l e c i e ć ? p r z y p ł y
n ą ć ? p r z y c z o ł g a ć s i ę ?
p r z y t o c z y ć ? * * * N i k t n
i e w i d z i a ł w ł a s n e g o p o
j a w i e n i a s i ę I n n i w i d z
i e l i p o j a w i e n i e i n n y c
h n n i m o g l i w i d z i e ć n a s

z e p o j a w i e n i e M y m o g l i
ś m y w i d z i e ć p o j a w i e n i
e i n n y c h T r z e b a m i e ć s z
c z ę ś c i e W i e m y t y l e i l e
w i e d z a n a s z e o c z y i r ę c
e W i e m y t y l e i l e w i d z a n
a s z e o c z y i n a s z e r ę c e R
ę c e w i d z a O c z y d o t y k a j
ą M y p o j a w i l i ś m y s i ę w t
e n s a m s p o s ó b I n n e g o s p
o s o b u n i e b y ł o i n i e m a T
o d o m n i e m a n i e N i e m a i n
n e g o d o m n i e m a n i a T o d o
m n i e m a n i e j e s t p e w n o ś
c i ą L e c z p e w n o ś ć b y w a p
o d e j r z l i w a O b a w i a s i ę
d o m n i e m a n i a n i e p e w n o
ś c i P o d e j r z e w a m y i s t n
i e n i e i n n e g o s p o s o b u p
o j a w i a n i a s i ę N i e w i a d
o m o j a k i e g o I n n e g o P o d
e j r z e w a n i e j e s t s k ł o n
n o ś c i ą a t a w i s t y c z n ą J
e s t j a k i m ś r e l i k t e m N i
e s p o s ó b s i ę g o p o z b y ć M
e n t a l n y w y r o s t e k r o b a
c z k o w y P s y c h i c z n a k o ś
ć o g o n o w a N i e w s z y s c y p

o d e j r z e w a m y N i e k t ó r z
y p o d e j r z e w a j ą J e d n i t
y l k o t r o c h ę I n n i b a r d z
i e j B o i n n e p o j a w i e n i e
s i ę d a w a ł o b y s z a n s ę n a
z a j ę c i e u p r z y w i l e j o w
a n e j p o z y c j i C z y l i j a k
i e j ? N i k t o t y m n i e m ó w i
O c z y i r ę c e t e ż m i l c z ą O
c z y i r ę c e n i g d y n i e w i d
z i a ł y ż a d n e g o u p r z y w i
l e j o w a n i a C o b y t o b y ł o
? W y r a s t a n i e p o n a d ? W r
a s t a n i e p o n i ż e j ? T o s i
ę z d a r z a T o n i e j e s t n i c
s z c z e g ó l n e g o T o n a w e t
j e s t d o s y ć p o w s z e c h n e
T o ż a d e n p r z y w i l e j Z a t
e m c o ? W i ę k s z y k w a d r a t
T o n i e w y o b r a ż a l n e T o m
o g ł o b y b y ć t o g d y b y m o g
ł o b o w i e m b y ć b y n i e m o g
ł o g d y ż z a b u r z y ł o b y c a
ł ą s i e ć L u b k i l k a k w a d r
a t ó w p o ł ą c z o n y c h w d o w
o l n e j k o n f i g u r a c j i T o
t e ż n i e w y o b r a ż a l n e T o
t e ż m o g ł o b y b y ć t o N i e z

a k ł ó c a ł o b y s i e c i S t a n
o w i ł o b y n i e p r z y j e m n y
d e f e k t B y ł o b y j a k z w a p
n i e n i e w p ł u c a c h T o w y o
b r a ż a l n e W s z y s t k o c o p
r z e m y k a p r z e z m y ś l j e s
t w y o b r a ż a l n e W y o b r a ż
e n i e j e s t m y ś l ą N i e m a w
y o b r a ż a n i a p o z a m y ś l o
w e g o N a p e w n o n i c t a k i e
g o s i ę n i e z d a r z y ł o N i c
t a k i e g o n i e z a i s t n i a ł
o P r z e c i e ż o c z y i r ę c e b
y w i d z i a ł y O c z y i r ę c e n
i e w i d z i a ł y N i g d y C h y b
a ż e t o s i ę w y d a r z y ł o j e
s z c z e w c z e ś n i e j P r z e d
n i g d y O c z y i r ę c e n i e z a
g ł ą d a j ą w c z a s y m i t y c z
n e Z a w s z e b y ł o t a k j a k j
e s t C z a s ó w m i t y c z n y c h
n i e m a i n i e m a p o t r z e b y
i c h w y m y ś l a ć * * * U s z y t
e ż o t y m w i e d z ą U s z y w i e
d z ą n a w e t w i ę c e j n i ż o c
z y i r ę c e S ł u c h s i ę g a d a
l e j n i ż w z r o k i d o t y k S ł
u c h j e s t j e d n a k n i e p e w

n y I m c o d a l e j s i ę g a t y m
b a r d z i e j j e s t n i e p e w n
e S ł u c h j e s t b a r d z i e j n
i e p e w n y n i ż w z r o k W z r o
k j e s t b a r d z i e j n i e p e w
n y n i ż d o t y k R ę c e n i e k ł
a m i ą A r ę c e n i g d y n i e w y
m a c a ł y p u s t k i R ę c e z a w
s z e k o g o ś d o t y k a j ą Z k a
ż d e j s t r o n y R ę c e n i e g u
b i ą s i ę w l a b i r y n c i e s z
c z e l i n i p r z e r w A w z r o k
b y w a ż e s i ę z a p ł ą c z e N a
w e t j e ś l i s z c z e l i n y i p
r z e r w y i d e a l n i e s i ę p o
k r y j ą i w z r o k d z i ę k i t a
k i e m u z b i e g o w i o k o l i c
z n o ś c i m ó g ł b y s i ę g n ą ć
n i e w i a r y g o d n i e d a l e k
o w s z y s t k o p o p s u j e p e r
s p e k t y w a O n a z a m k n i e t
ę s z c z e l i n ę Z a b l i ż n i Z
a m a ż e d a l e k i w i d o k Z a s
ł o n i w s z y s t k o A n i e c h z
a m a z u j e C ó ż b y t a m m o g ł
o b y ć n a k o ñ c u ? N i c b y n i
e b y ł o O t o n a j s z c z e g ó l
n i e j s z y z e s z c z e g ó l n y

c h p r z y p a d k ó w : p r z e r w
y u k ł a d a j a s i ę j e d n a z a
d r u g a i d e a l n i e w l i n i i
i t w o r z a n i e s k o ń c z o n a
p r z e s z c z e l i n a i w z r o k
n i e n a p o t y k a n i c z e g o n
a c z y m b y s p o c z a ł T o m ę k
a d l a w z r o k u Z ł u d z e n i e
p e r s p e k t y w i c z n e s k r a
c a j e g o m ę k ę T o d o b r z e A
l b o w i e m p r z y z b y t d ł u g
i m p a t r z e n i u w z r o k z a c
z a ł b y w i d z i e ć t o c z e g o
n i e m a i j e s z c z e u z n a ł b
y t o c o ś z a i s t n i e j a c e n
a p r a w d ę N i c z a m i e n i ł o
b y s i ę w c o ś P ł o n n e o b a w
y T o s i ę z d a r z a t a k r z a d
k o ż e n i e z d a r z a s i ę w c a
l e N i k t o t y m n i e o p o w i a
d a ł N i c t a k i e g o n i e m i a
ł o m i e j s c a C h y b a ż e w c z
a s a c h m i t y c z n y c h W c z e
ś n i e j n i ż n i g d y O c z a s a
c h m i t y c z n y c h z a p o m n i
e l i ś m y i d o n i c h n i e w r a
c a m y D o c z e g o m i e l i b y ś
m y w r a c a ć i p o c o s k o r o i

c h n i e m a i n i e b y ł o ? * * *
D ź w i ę k r o z c h o d z i s i ę l e
e p i e j D ź w i ę k s i ę r o z l e
w a n a w s z y s t k i e s t r o n y
N i e w i d a ć w o d d a l i S ł y c
h a ć z o d d a l i J e ś l i n i e s
ł y c h a ć b e z p o ś r e d n i o t
o s ł y c h a ć p o ś r e d n i o S ł
y c h a ć t o c o m ó w i ą M ó w i ą
o t y m c o w i d a ć W i d a ć t y l
k o t o c o w p o b l i ż u W i d a ć
t y l k o z b l i s k a O d d a l i j
u ż c h y b a n i e m a D a l c h y b
a j e s t t y l k o n a d g ł o w ą M
o ż n a p o d n i e ś ć g ł o w ę P o
c o p o d n o s i ć g ł o w ę ? N a d
g ł o w ą w z a s a d z i e c i ą g l
e t o s a m o N i b y c o ś s i ę k ł
ę b i K ł ę b i s i ę c i ą g l e t o
s a m o Z a w y s o k o i z a d a l e
k o T o b e z z n a c z e n i a N a w
e t j e ś l i c o ś s i ę t a m d z i
e j e r ę c e t e g o n i e d o s i ę
g n ą D l a t e g o n i e p o d n o s
i m y g ł ó w N i e p o r ó w n a n i
e c i e k a w s z e j e s t t o c o n
a w y s o k o ś c i w z r o k u P o d
o b n o s ą t a c y k t ó r z y p o d

n o s z a g ł o w y c a ł k i e m c z
ę s t o P o d o b n o s a i t a c y k
t ó r z y n i e m a l c a ł y c z a s
t r z y m a j a g ł o w y z a d a r t
e P o d o b n o w i d z a t a m j a k
i e ś w s p a n i a ł o ś c i W i d z
ą n i e s ł y c h a n a g r ę k o l o
r ó w W i d z i e ć n i e s ł y c h a
n e C z y t o n i e d z i w n e ? D ź
w i ę k l u b i s i ę r o z p r a s z
a ć D ź w i ę k o d b i j a s i ę Z w
i e l o k r o t n i a e c h e m Z n i
e k s z t a ł c a s i ę J e d e n d ź
w i ę k n a c h o d z i n a d r u g i
J e d n e d ź w i ę k i n a c h o d z
ą n a d r u g i e M i e s z a j a s i
ę G d z i e ś w y p o w i e d z i a n
e s ł o w o r u s z a n i c z y m f a
l a i o b i e g a ś w i a t C o ś j a
p o d r o d z e s t ł u m i W y g a s
i R o z b i j e N a ł o ż y s i ę n a
n i a i n n a f a l a N a t ę i n n a
n a ł o ż y s i ę j e s z c z e i n n
a i j e s z c z e i n n a Z m a c a s
i ę S k ł ę b i a s i ę N i e z r o z
u m i a ł y b u l g o t i b e ł k o t
p o w s t a n i e Z t e g o b e ł k o
t u u s z y w y ł o w i a i n n e s ł

o w a N i e z u p e ł n i e n o w e Z
m i e n i o n e S ł ó w z u p e ł n i
e n o w y c h n i e m a S ą s ł o w a
z m i e n i o n e Z a m i e n i o n e
t e ż s ą I t e i n n e s ł o w a r o
z e j d ą s i ę i n n ą f a l ą T e i
n n e f a l e z d e r z ą s i ę z j e
s z c z e i n n y m i f a l a m i n a
p ł y w a j ą c y m i z i n n y c h k
i e r u n k ó w N o w e i n n e i s t
a r e t e s a m e s k ł ę b i ą s i ę
i z b e ł t a j ą p o r a z w t ó r y
N o w e t e s a m e i s t a r e i n n
e z m i e s z a j ą s i ę p o r a z k
t ó r y ś t a m J e ś l i w s z y s t
k o d o b r z e s i ę u ł o ż y t o p
o i l u ś t a m c y k l a c h s t a n
ą s i ę n a p o w r ó t t y m i p i e
r w s z y m i S ł o w a u s ł y s z a
n e o s t a t e c z n i e b ę d ą s ł
o w a m i w y p o w i e d z i a n y m
i p i e r w o t n i e T a k b y w a T
a k s i ę d z i e j e N i e m a i n n
e j k o m u n i k a c j i n i ż g ł u
c h y t e l e f o n N i e m a l e p s
z e g o s p o s o b u p o w i a d a m
i a n i a Ż a d e n i n n y k a n a ł
k o m u n i k a c y j n y n i e j e s

t p o t r z e b n y T e n z o s t a ł
s p r a w d z o n y p r z e z p o k o
l e n i a N i g d y n i e z a w i ó d
ł i t y l k o t e n s i ę o s t a ł T
e n j e d e n j e d y n y n i e p o t
r z e b u j e ż a d n e j i n f r a s
t r u k t u r y M y j e s t e ś m y j
e g o i n f r a s t r u k t u r ą K a
ż d y z n a s j e s t m a s z t e m n
a d a w c z o - o d b i o r c z y m T
w o r z y m y s i e ć m a k s y m a l
n i e n a s y c o n ą K a ż d y z n a
s j e s t w ę z ł e m t e j s i e c i
N i e s ą p o t r z e b n e d r u t y
i k a b l e N i e s ą k o n i e c z n
e w z m a c n i a c z e N a w e t k r
z y c z e ć n i e t r z e b a W y s t
a r c z y t y l k o m ó w i ć n i e s
p e c j a l n i e c i c h o i n i e s
p e c j a l n i e g ł o ś n o W s a m
r a z K a ż d y w i e j a k Ż a d n a
z e w n ę t r z n a e n e r g i a n i
e j e s t p o t r z e b n a M y j e s
t e ś m y w y s t a r c z a j ą c ą e
n e r g i ą E n e r g i i j e s t d o
k ł a d n i e t y l e i l e t r z e b
a N i e m a n a d w y ż e k z k t ó r
y m i n i e w i a d o m o c o z r o b

i ć a n i j a k j e z m a g a z y n o
w a ć N i e m a n i e d o b o r ó w k
t ó r e w y w o ł u j ą p a n i k ę C
h w i l o w e o s ł a b i e n i e s y
g n a ł u w j e d n y m w ę ź l e n i
e p o w o d u j e z a k ł ó c e ń i p
r z e r w T y l k o g ł u c h y t e l
e f o n z a p e w n i a k o m u n i k
a c j ę p o w s z e c h n ą i b e z k
o s z t o w ą B e z n a r z ę d z i o
w ą i b e z p r z e d m i o t o w ą B
e z p i e c z n ą b o b e z ł a d n ą
B e z k a r n ą b o b e z r a d n ą *
* * K i e d y ś p i s a n o s ł o w a
n a k a r t k a c h N i k t n i e w i
e k i e d y K a r t k i p o d a w a n
o J e d e n d r u g i e m u J e d n i
d r u g i m D r u d z y t r z e c i m
T r z e c i c z w a r t y m K a r t k
i n i e k i e d y g i n ę ł y B y w a
ł y t e ż n i s z c z o n e C z y d a
s i ę z n i s z c z y ć s ł o w o p o
w i e d z i a n e ? C z y d a s i ę z
g u b i ć s ł o w o u s ł y s z a n e
p r z e z w i e l e u s z u ? S ł o w
o d a s i ę u w i ę z i ć w g a r d l
e S ł o w o r a z w y p o w i e d z i
a n e b ę d z i e u s ł y s z a n e p

r z e z w i e l e u s z u i p o w t ó
r z o n e p r z e z w i e l e u s t i
n i c s i ę n i e d a z t y m z r o b
i ć S ł o w a n a p i s a n e n a k a
r t c e w i d z i a ł a j e d n a p a
r a o c z u N i e k a ż d y o c z y p
r z y m y k a ł N i e k a ż d y n i e
c z y t a ł ł a t w o b y ł o p r z e
r w a ć n i ć p o r o z u m i e n i a
L i n i a t o n i e f a ł a P u n k t
t o n i e p l a m a P u n k t t o n i
e k o ł o r o z s z e r z a j ą c e s
i ę p o k r a ń c e I j e s z c z e d
o t e g o p a p i e r S k ą d b r a n
o p a p i e r ? G d z i e g o w y r z
u c a n o ? N a w e t w i e l o k r o
t n i e u ż y w a n a k a r t k a w k
o ń c u m u s i a ł a b y ć w y r z u
c o n a W k o ń c u z u ż y t o w s z
y s t k i e k a r t k i i j e w y r z
u c o n o C o ś s i ę z n i m i s t a
ł o Z a m i e n i ł y s i ę w n i c T
a k m ó w i ą W t e d y p r z e s t a
n o s i ę z a j m o w a ć p a p i e r
e m u z n a j ą c t o z a s t r a t ę
c z a s u i e n e r g i i P r z e d e
w s z y s t k i m m i e j s c a O t a
k - p r z e d e w s z y s t k i m m i

e j s c a P o d o b n o p o t e m p i
s a n o w p o w i e t r z u T o b y ł
o i n t e r e s u j ą c e W y m a g a
ł o a k t y w n o ś c i f i z y c z n
e j T o b y ł o d o b r e R u c h P r
a w i e t a n i e c N i e o m a l p a
n t o m i m a N a l e ż a ł o p i s a
ć t e k s t o d w r ó c o n y j a k w
l u s t r z e W t e d y c z y t a j ą
c y w i d z i a ł g o n o r m a l n i
e N i e k t ó r z y p i s a l i n o r
m a l n i e n i e o d w r a c a j ą c
l i t e r W t e d y c z y t a j ą c y
m u s i a ł p o s i ą ś ć u m i e j ę
t n o ś ć c z y t a n i a l u s t r z
a n e g o o d b i c i a T o n i e b y
ł o d o b r e N a w e t p r z y o s i
ą g n i ę c i u d u ż e j s p r a w n
o ś c i w r o z w i ą z y w a n i u t
y c h z a w i ł o ś c i p r z e k r ę
c a n i e b y ł o n a g m i n n e N i
e u s t a n n e w y m a c h i w a n i
e r ę k a m i m ę c z y ł o T r a c o
n o d u ż o e n e r g i i N i e k t ó
r e i n f o r m a c j e w y m a g a ł
y r o z m a c h u R o z m a c h w y m
a g a ł m i e j s c a M i e j s c a b
y ł o c o r a z m n i e j P i s a n o

w i ę c h a p t y c z n i e T o b y ł
o m i ł e Z b y t m i ł e P o w o d o
w a ł o d a l e k o i d a c e n i e p
o r o z u m i e n i a N i e k t ó r y
c h n a d m i e r n i e ł a s k o t a
ł o L i t e r y i s ł o w a s t a w a
ł y s i ę p r z e z t o j e s z c z e
b a r d z i e j n i e w y r a ż n e T
e k s t y s i ę p ł a t a ł y W r a c
a n o d o p a n t o m i m y Z n o w u
j a p o r z u c a n o j a k o n i e e
k o n o m i c z n a i a n g a ż u j a
c a c a ł e c i a ł o P o z o s t a w
a ł o m i g a n i e J ę z y k m i g o
w y j e s t w y s t a r c z a j a c o
p r e c y z y j n y i d o s y ć s z y
b k i D o s y ć s z y b k i c z y l i
i t a k z a w o l n y A p r z e d e w
s z y s t k i m z a n a d t o l i n i
o w y Z b y t p u n k t o w y O d b i
o r c a k o m u n i k a t u m u s i a
ł p a t r z e ć n a m i g a j a c e r
ę c e N i e m ó g ł w t y m c z a s i
e g a p i ć s i ę w p u s t e n i e b
o i s z u k a ć w n i m z a c h w y c
a j a c y c h f l u k t u a c j i D l
a t e g o g ł o s z a w ł a d n a ł n
i c n i e w a r t y m r y n k i e m u

s ł u g k o m u n i k a c y j n y c h
Z o s t a w i ł j a k i ś s k r a w e
k d l a r u c h u i d o t y k u H a p
t y c z n o ś ć c h a p s n ę ł a o c
h ł a p P o r ó w n a j m y t a ń c z
e n i e i ś p i e w a n i e : i l u z
a u w a ż y t a ń c z ą c e g o a i l
u u s ł y s z y ś p i e w a j ą c e g
o ? D l a t e g o j u ż n i k t n i e
t a ń c z y W s z y s c y ś p i e w a
j ą N i k t j u ż n i e p i s z e P a
t r z e n i e i w i d z e n i e s ą c
z y m i n n y m i d o c z e g o i n n
e g o s ł u ż ą W s z y s c y m ó w i
ą * * * P r z e z w i e l e l a t t r
z e b a b y ł o p o k o n y w a ć o d
l e g ł o ś c i m i ę d z y n a m i P
r z e z w i e l e l a t t r w a ł a w
o j n a z o d l e g ł o ś c i ą A ż w
r e s z c i e o d l e g ł o ś ć z o s
t a ł a p o k o n a n a N i e m a j u
ż o d l e g ł o ś c i I m p e r i u m
o d l e g ł o ś c i u p a d ł o P o n
i o s ł o c a ł k o w i t ą k l ę s k
ę T e r a z w s z y s t k o j e s t b
l i s k o N i c n i e j e s t d a l e
k o D a l n i e i s t n i e j e M o ż
e g d z i e ś n a o b r z e ż a c h p

a m i ę c i z o s t a ł j a k i ś n i
e w y r a ż n y ś l a d I o n s i ę z
a c i e r a J u ż g o s i ę n i e i m
a j ą ż a d n e s ł o w a J u ż g o n
i e o p i s z ą ż a d n e l i c z b y
J u ż t o p o j ę c i e d o n i c z e
g o s i ę n i e p r z y d a j e N i c
z e g o n i e o k r e ś l a Z a j m u
j e t y l k o m i e j s c e A m i e j
s c a n i e p r z y b y w a M i e j s
c a j e s t c i ą g l e t y l e s a m
o T e r a z w s z y s t k o j e s t n
a w y c i ą g n i ę c i e r ę k i T e
r a z w s z y s t k o j e s t b l i s
k o N i e o b e c n o ś ć d a l e k o
n i e o z n a c z a b r a k b l i s k
o I s t n i e n i e b l i s k o n i e
j e s t u z a l e ż n i o n e o d i s
t n i e n i a d a l e k o T a k n i e
j e s t B y t j e d n e g o n i e w a
r u n k u j e b y t u d r u g i e g o
P o d o b n o t a k k i e d y ś b y ł
o T e r a z j u ż t a k n i e j e s t
N i e w i a d o m o k i e d y t a k b
y ł o C z a s y p r z e c i w i e ń s
t w m u s i a ł y b y ć s t r a s z n
y m i c z a s a m i T e r a z p r z e
c i w i e ń s t w a n i e r z ą d z ą

N i e m a i c h T e r a z w s z y s t
k o j e s t b l i s k o L e c z b l i
s k o n i e r z ą d z i N i c n i e r
z ą d z i R z ą d z e n i e n i e m a
s e n s u N i e m a m i e j s c a n a
r z ą d z e n i e T e r a z n a n i c
n i e m a m i e j s c a P r z e s t r
z e ń z o s t a ła z a p e ła n i o n
a T e r a z t r z e b a p o k o n a ć
p r z e s t r z e ń * * * S k ą d t a
p e w n o ś ć ? C z y k i e d y ś p r
z e s t r z e ń b y ła n i e z a p e
ła n i o n a ? C z y k i e d y ś p r z
e s t r z e ń b y ła p u s t a ? P u
s t a - p e ła n a K o l e j n a s p r
z e c z n o ś ć p o k o n a n a S p r
z e c z n o ś ć a t r y b u t ó w M a
r n a s p r z e c z n o ś ć S p r z e
c z n o ś ć p o j ę ć M a r n a s p r
z e c z n o ś ć S p r z e c z n o ś ć
s t a n ó w S p r z e c z n o ś ć b y
t ó w N i e c o m n i e j m a r n e A
l e m a r n e P r z e c i w i e ń s t
w o p r z e s t r z e n i T o n i e b
y ła o b y m a r n e G d y b y b y ła
L e c z n i e m a P r ó ż n o s z u k
a ć P o c o s z u k a ć c z e g o ś c
z e g o n i e m a J e s t p r z e s t

r z e n i C i ą g l e j e s t e ś m y
w p r z e s t r z e n i C h c i e l i
b y ś m y n i e b y ć C h c i e l i b
y ś m y w y c h o d z i ć z n i e j i
w c h o d z i ć d o n i e j P r z e k
r a c z a ć g r a n i c ę M i ę d z y
p r z e s t r z e n i ą a c z y m ś c
o n i e j e s t p r z e s t r z e n i
ą i n i e j e s t j e j p r z e c i w
i e ń s t w e m T o n i e j e s t n i
e m o ż l i w e T a k m ó w i ą C z a
s a m i p r z y p ł y w a t a k a w i
a d o m o ś ć P o w i e l o k r o ć s
p r a w d z o n a i p o w i e l o n a
T o m i ł e j a k p r z y c h o d z i
t a k a w i a d o m o ś ć T a k a p r
z y j e m n a f a l a j a k ł a g o d
n y p o d m u c h S z e p t i s z e l
e s t P o m r u k r o z k o s z y S k
ą d t a k a f a l a p r z y p ł y w a
? Z e w s z ą d Z k a ż d e j s t r o
n y J e s t e ś m y p r z e c i e ż j
e d n y m w i e l k i m f a l o w a n
i e m N i e m a ż a d n e g o c e n t
r u m K a ż d y j e s t p u n k t e m
c e n t r a l n y m K a ż d y k i e d
y c h c e i n i c j u j e f a l ę F a
l a t o c z y s i ę P r z e t a c z a

P r z e w a l a K a ż d y j ą p o p y
c h a W z m a c n i a O s ł a b i a P
o p r a w i a K s z t a ł t u j e T o
j e s t z j a w i s k o p o w s z e c
h n e j g l o b a l n e j e d y c j i
G d y b y g d z i e ś b y ł o c e n t
r u m k t o ś b y t o p o w i e d z i
a ł P o d o b n o k i e d y ś b y ł o
K i e d y - n i e w i a d o m o P o d
o b n o n i e m a j u ż k i e d y ś N
a p e w n o n i e m a j u ż k i e d y
ś * * * J e ś l i c e n t r u m t o i
o b r z e ż a O b r z e ż a b y ł y b
y w o p o z y c j i d o c e n t r u m
N i c j u ż n i e j e s t w o p o z y
c j i d o n i c z e g o W s z y s c y
s ą o b r z e ż a m i i w s z y s c y
s ą c e n t r u m W y s u Ń g ł o w ę
i z o b a c z J e ś l i j e s t e ś z
a n i s k i t o p o d s k o c z P o d
s k a k i w a n i e d o b r z e r o b
i P o p r a w i a n a s t r ó j T r z
e b a p o d s k a k i w a ć w c h w i
l a c h z w ą t p i e n i a P o d s k
a k u j e s z i w i d z i s z r o z k
o ł y s a n e m o r z e g ł ó w P o d
s k a k u j e s z i w i d z i s z p o
f a l o w a n ą p u s t y n i ę g ł ó

w P u s t y n i a j e s t m o r z e m
M o r z e j e s t p u s t y n i a P i
a s e k j e s t w o d a W o d a j e s
t p i a s k i e m J e ś l i j e s t e
ś d o b r y m p o d s k a k i w a c z
e m t o p o t r a f i s z z a w i s n
ą ć w p o w i e t r z u n a m o m e n
t W t e d y l e p i e j w i d a ć f a
l e r o z c h o d z a c e s i ę w e w
s z y s t k i c h k i e r u n k a c h
i p r z y b y w a j a c e z e w s z y
s t k i c h s t r o n W i d a ć t e ż
w y r a ż n i e i n n y c h p o d s k
a k u j a c y c h T w o r z a f a l e
p i o n o w e G e n e r u j a d r o b
n e z m a r s z c z k i * * * N i e j
e s t t r u d n o w y j ś ć p o z a c
z a s W y s z l i ś m y i s t o i m y
o b o k G d z i e ś t a m s o b i e p
ł y n i e c z a s C z a s n i e z a j
m u j e m i e j s c a C z a s n i e p
o t r z e b u j e p r z e s t r z e n
i C z a s p r z e n i k a p r z e s t
r z e ń C z a s j e s t w p r z e s t
r z e n i C z a s j e s t p r z e s t
r z e n i a K a ż d y w a r i a n t j
e s t m o ż l i w y i k a ż d y j e s
t n i e i s t o t n y k i e d y m y j

u ż w y s z l i ś m y n a b r z e g c
z a s u C z a s o b j a w i a s i ę w
d z i a n i u C z a s n i e j e s t
t r w a n i e m C z a s j e s t d z i
a n i e m s i ę A t u n i c s i ę n i
e d z i e j e D z i e j e s i ę t y l
k o f a l o w a n i e L e c z o n o j
e s t k o m p l e t n i e p o p l a t
a n e O n o j e s t r o z t r z ę s i
o n a g a l a r e t o w a t a m a s a
b e z p o c z a t k u i k o ń c a N i
e m a p r z e r w N i e m a p u n k t
ó w z a c z e p i e n i a P o d o b n
o k i e d y ś c o ś s i ę d z i a ł o
T a k p o d e j r z e w a j a n i e k
t ó r z y I w t e d y b y ł o k i e d
y ś T e r a z n i e m a k i e d y ś K
i e d y ś n i e i s t n i e j e o d k
i e d y n i c s i ę n i e d z i e j e
C o ś s i ę z n i m s t a ł o N i k t
n i e w i e c o N i k t s i ę n a d t
y m n i e z a s t a n a w i a N a d t
y m o r a z n a d t y m c z y i s t n
i e j e p r z e c i w i e ń s t w o c
z a s u N a p e w n o n i e b y ł a b
y n i m p r z e s t r z e ń Z c z a s
u w y s z l i ś m y W y s z l i b y ś
m y z p r z e s t r z e n i C i a g l

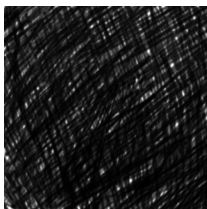
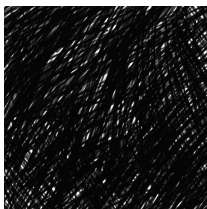
e w n i e j t k w i m y A c h ! J e d
n o j e s t i s t o t n e : t o b r a
k p r z e c i w i e ń s t w a s t w a
r z a s z a n s ę n a w y j ś c i e N
i e w p a d l i ś m y w p r z e c i w
i e ń s t w o c z a s u N i e m a p r
z e c i w i e ń s t w a c z a s u D l
a t e g o o p u ś c i l i ś m y c z a
s B y c i e o b o k c z a s u n i e j
e s t p r z e c i w i e ń s t w e m c
z a s u J e s t c o n a j w y ż e j o
b o j ę t n o ś c i ą w o b e c n i e
g o N a w e t p o g a r d ą z m i e s
z a n ą z p o l i t o w a n i e m Z a
t e m d a s i ę o p u ś c i ć p r z e
s t r z e ń * * * N i e w i a d o m o
j a k s i ę p o j a w i l i ś m y N i
e w i a d o m o j a k s i ę p o j a w
i a m y P o d o b n o N O W Y p o j a
w i a s i ę k i e d y S T A R Y z n i
k a T y l k o w t e d y z w a l n i a
s i ę m i e j s c e N i e w i a d o m
o j a k w y g l ą d a p o j a w i a n
i e s i ę i n i e w i a d o m o j a k
w y g l ą d a z n i k a n i e N i k t
n i e w i d z i a ł s w o j e g o z n
i k n i ę c i a N i k t n i e o p o w
i e d z i a ł n i k o m u o s w o i m

z n i k a n i u N i k t n i e p r z e
k a z a ł t e g o d a l e j N i e m i
a ł c z e g o D l a t e g o n i e w i
e m y j a k t o j e s t z t y m z n i
k a n i e m T o j e d n a k n i e j e
s t t e r a z i s t o t n e A n i o p
u s z c z a n i e k r a t k i A n i z
a p e ł n i a n i e k r a t k i T e r
a z j u ż n i e o t o c h o d z i Z a
p e ł n i l i ś m y w s z y s t k o N
i e m a n i c z e g o i n i k o g o o
p r ó c z n a s Z a p e ł n i l i ś m
y p r z e s t r z e ń P r z e s t r z
e ń n a s o g r a n i c z a O p u ś c
i l i ś m y c z a s T r w a m y o b o
k n i e g o J e d n a k n i e k t ó r
z y t w i e r d z ą ż e g o p o ż a r
l i ś m y C o k t ó r a ś t a m f a l
a p r z y n o s i t a k ą i n f o r m
a c j ę U d a j e m y ż e g o o p u ś
c i l i ś m y a m y g o p o ż a r l i
ś m y I t e r a z t o s a m o z r o b
i m y z p r z e s t r z e n i ą W y d
o s t a n i e m y s i ę z n i e j p o
c h ł a n i a j ą c j ą W s z y s t k
o j e s t p r z y g o t o w a n e C z
e k a m y n a s y g n a ł I t y m r a
z e m n i e b ę d z i e t o g ł o s T

o b ę d z i e d o t k n i ę c i e N i
e b r u t a l n e u d e r z e n i e N
i e c h a m s k i e k l e p n i ę c i
e N i e g ł u p a w y s z t u r c h a
n i e c ł a g o d n e d o t k n i ę c
i e D e l i k a t n e m u ś n i ę c i
e W z b u d z a j ą c e d r e s z c z
r o z k o s z y I n n e j r o z k o s
z y R o z k o s z y a b s o l u t n e
j N i k t n i e w i e j a k i e t o b
ę d z i e d o t k n i ę c i e N i k t
n i g d y n i k o g o t a k p r z e c
i e ż n i e d o t y k a ł P o t y m j
e p o z n a m y T o b ę d z i e z u p
e ł n i e i n n e d o t k n i ę c i e
I n a s t ą p i u w o l n i e n i e O
p u ś c i m y p r z e s t r z e ń O d
t ą d b ę d z i e m y p o z a p r z e
s t r z e n i ą i o b o k c z a s u N
i c n a s n i e b ę d z i e k r ę p o
w a ć N i c n a s n i e b ę d z i e o
g r a n i c z a ć P o c h ł o n i e m
y c z a s i p r z e s t r z e ń Z a g
a r n i e m y i p o ż r e m y U s u n
i e m y Ż e b y n i e z a j m o w a ł
y m i e j s c a M i e j s c a p o t r
z e b u j e m y ! M i e j s c a ! J e
s z c z e t r o c h ę m i e j s c a !

1. Introduction





RA-DIO

Radio jest jak świat. Świat się zmienia, więc radio też. Tak myślał każdego dnia rano, kiedy włączał odbiornik. Zaś żeby poddać gimnastyce i rozruszać jeszcze rozespane szare komórki, odwracał stwierdzenie i szeptał w głowie: świat jest jak radio, świat jest jak radio... radio się zmienia, więc świat też... Niekiedy, i tak chyba było tego dnia, rezygnował z porównania, odrzucał banalną metaforykę i stawiał znak równości: radio jest światem... radio jest światem... I nie chodziło tu wcale o jego radio. Nie. Nie był przecież maniakiem radia, nie słuchał go bez przerwy, nie musiał tego robić, nie był od radia uzależniony. Chodziło o radio w ogóle. Po prostu o radio. Potem to równanie odwracał: świat jest radiem... świat jest radiem... i zapytywał swój ledwie rozbudzony umysł czy to jest równoważne. Przecież jeśli a równa się b , to b równa się a . Jeśli a równa się b , a b równa się c , to a równa się c . A jeśli równa się $ć$? Gdyby tak użyć do tego równania dźwięków... czyli: jeśli c podwyższone o półtonu daje cis , zaś d obniżone o pół tonu daje des , to cis równa się des . Tak jest w stroju temperowanym, lecz strój temperowany, polega na zastruganiu świata, na wygładzeniu chropowatości i usunięciu

zadziorów – wiadomo przecież, cis nie równa się des, między dwoma białymi klawiszami powinny być dwa czarne, a wtedy każda dłoń powinna mieć przynajmniej osiem palców, nawet więcej – im więcej, tym lepiej...

Nieco rozbudzony już umysł mógł podjąć się następnego wyzwania i udowodnić, że jednak radio jest światem. Oto bowiem wystarczy wstawić w stosownym miejscu małą kreseczkę, łącznik będący rozdzielnikiem, by RADIO okazało się starożytnym bogiem-słońcem. RA-DIO. **Dio Ra**. Oczywiście Dio należy z długim j w środku: dijo. Bóg-słońce jak się patrzy. A czyż Ra nie był światem? Był. Jeśli nie całym, to jakąś jego częścią. Kto wie czy nie najważniejszą. Przyjrzyjmy się światu. ŚW-IAT. ŚWI-AT. Nic. Zaledwie jakaś onomatopeja świstów. Lecz cóż tam świsty. Świsty to nie radio, choć jakąś drobnutką jego częścią są. Zatem radio jest światem, podczas gdy świat radiem nie jest. Teraz więc nie pozostaje nic innego jak w porywający sposób udowodnić, że radio zostało wynalezione w starożytnym Egipcie, w czym niechybnie pomagali przybysze z odległych galaktyk... Ach! Zadanie równie trudne, choć może nawet nieco łatwiejsze,

niż narysowanie z pamięci, oczywiście bez pomocy linijek, ekierok, cyrkli i kątomierzy, trzech identycznych sześciątów, każdy w ustawieniu wyraźnie innym, inaczej przekręcony, wiszących jeden pod drugim i szepionych wierzchołkami, jakby nanizanych na nitkę.

Skąd takie myśli? Resztki snu? Wstał z ciężką głową. Jakby ściśniętą obręczą, jeszcze nie mocno, ale już zauważalnie. Lekkie pulsowanie. Zarys bólu. Stąd to kłębianie się sennych obrazów, przedmigrenowy wir, z którego jakże trudno się wyrwać. Budził się i zasypiał i znowu się budził. Już podnosił głowę, a ta leciała na poduszkę, wystawiał rękę spod kołdry, a ta opadała na nią i wsuwała się w jej fałdy jakby obdarzona własną wolą, z jego chceniem nic niemająca wspólnego. Pewnie jutro będzie burza.

Dlaczego pomyślał o trzech sześciątach? Dlaczego mu się przypomniały? Wiele razy próbował je narysować. Och, nie tak znowu wiele. Czy kilkanaście razy to wiele? Albo nawet kilkadziesiąt? Na pewno nie kilkadziesiąt. Nigdy nie zrobił tego dobrze. Nigdy też nie uważał, że rozwiązanie tego zadania uczyni z niego wspaniałego rysownika. Tym bardziej przenikliwego myśliciela. Raczej

należało uznać je za pewną ciekawostkę, która mogłaby stać się obsesją, gdyby była rodzajem zaklęcia otwierającego sezam wiedzy; tak jednak nie było, zaś wrodzona skłonność do racjonalizmu i niechęć do mistycyzmu (trzeba to zaznaczyć, nietrudno bowiem wyobrazić sobie racjonalnego mistyka) spowodowały, że dosyć szybko go to ćwiczenie znużyło. Podobno nikt nigdy nie narysował tych trzech sześciątów dobrze. Tak przynajmniej twierdził jego nauczyciel. Nikt z jego uczniów. Nic nie wiadomo o innych, którzy nie byli jego uczniami. Nigdzie też nie znalazł żadnej wzmianki o kimś, kto podjął się takiego wyzwania i uczynił z tego swoją drogę do oświecenia. Kiedyś nawet dosyć często opowiadał o tym zadaniu. Potem przestał. Chyba nawet zupełnie o nim zapomniał. A teraz mu się przypomniało. Dlaczego? Czyżby wirujące w głowie sny coś wyszarpały z zakurzonych otchłani pamięci? Niech i tak będzie... Dlaczego trzy? Kiedyś się zastanawiał i nie znalazł innego wytłumaczenia poza tym, że tyle wystarczyło, by zameczyć rysującego. Nie trudno wyobrazić sobie rysowanie czterech, pięciu, nawet całych girland jednakowych sześciątów, lecz już trzy zapewniały

wystarczający poziom trudności. Po cóż mnożyć poziomy trudności bez potrzeby? Może teraz powinien wrócić do tych rozważań uwzględniając perspektywę antropologiczną, jak również polityczną, teologiczną, magiczną, numerologiczną i wiele innych. Lecz po co? Chyba że to pomoże przegonić narastający ból głowy. Wiadomo jednak, że nie pomoże.

Włączył radio. Znajomy głos. Znajoma audycja. Znajomy program. Ciągłe ten sam od tylu lat. Kiedyś słuchał tej stacji na zupełnie innym odbiorniku. W zupełnie innym domu. Tej samej stacji, ale innej audycji. Raczej nigdy o tej porze. Wtedy wieczorem – teraz rano. Świat się zmienił. Radio się zmieniło. Odbiornik się zmienił. Ten kupił jakiś czas temu, ale dopiero teraz, w tym właśnie dniu, o tej właśnie porze, wcale nie tak wczesnej, skojarzył go z zadaniem z lekcji rysunku. To radio składało się z trzech sześciątów. Takich samych. Czarnych. Błyszczących. Jakby wyciętych z fortepianu. Kostki dosyć duże, lecz nie na tyle, by nie mógł podnieść każdej jedną ręką. Dwa głośniki i tuner. Tjuner – czyli co? Tjjjuuuuuuner. Nic nie świstało. Coś się świeciło. Niebieskie cyferki. Niebieskie ikonki. Punkciki

i kreseczki. Niebieskie. Nie zielone. Ten odbiornik nie miał zielonego magicznego oka. Nie mrugał. To dobrze. To już nie te czasy. Nie trzeba porozumiewawczo mrugać. Miał gdzieś na strychu stare, bardzo stare radio z zielonym magicznym okiem. Na tym radiu ciotka słuchała w każdą niedzielę o tej samej porze niekończącą się powieść w odcinkach. Powieść-słuchowisko. Siedała tuż przed radiem, nachylała głowę, żeby nie uronić ani jednego słowa wydobywającego się z głośnika ukrytego za beżowym materiałem zdobionym abstrakcyjnymi wytłoczeniami, a może supełkami, gruzełkami upodabiającymi go do kawałka kory z drzewa zamorskiego gatunku. Gdyby chciał, mógłby je ożywić, chociaż wiedział, że całkiem martwe nie było – jeśli ktoś gdzieś nadawał jeszcze jakiś program na falach długich, średnich lub krótkich stare radio przemówiłoby w mniej lub bardziej nieznanym języku. Wystarczyło je wybebeszyć i do drewnianej obudowy delikatnie połyskującej starą politurą wstawić nowe serce. Po co? Może nawet ktoś zręczny ponadprzeciętnie sprawiłby, że kręcąc starą ebonitową gałką i przesuwając wskaźnik za potłuczoną szybką z nadrukowanymi nazwami miast,

wtedy rozpalającymi wyobraźnię i uznawanych za egzotyczne, teraz także nieobojętnych choć nieco spowszedniałych, dałoby się wyszukiwać stacje. Po co? Przecież te stacje nie odpowiadałyby nazwom na szybko. Świat się zmienił, radio się zmieniło, po co udawać, że ciągle jest tak samo? Dlatego, kiedy wreszcie zdecydował się kupić nowy odbiornik, bowiem poprzedni potrącony przez nieuwagę spadł ze stołu, roztrzaskał się niczym srebrzyste jajo plastikowego strusia i zaniemówił, wybrał wzornictwo minimalistyczne, przedmiot zupełnie do radia niepodobny: trzy kostki w kolorze fortepianowej czerni. Stały na półce w kuchni od kilkunastu miesięcy i dopiero teraz zauważył, że mogłyby być tymi trzema zaklętymi sześcianami. Mógłby spróbować zdjąć je z półki i powiesić do sufitu, albo do lampy. Miałyby wtedy szansę rozwiązać zadanie. Były przecież połączone cienkimi kabelkami, które dałoby się uznać za ową nitkę przeciągniętą przez narożniki sześcianów, gdyby nie fakt, że wychodziły z tylnej ściany odbiornika, zaś gniazda dla wtyczek też znajdowały się z tyłu głośników, a poza tym kabelki były za długie, co powodowałoby nieustanne obracanie się sześcianów,

uniemożliwiając uchwycenie właściwych proporcji, skrótów perspektywicznych i rozkładu cieni. Cóż, kable powinny być długie. Przecież chodziło o jaką taką stereofonię. Tu przypomniała mu się audycja z dawnych lat zaczynająca się od sprawdzania kanałów: szszszszszs prawy kanał – zzzzzrzzrzzrzz lewy kanał... Westchnął sentymentalnie. Już nie nadają szumów prawo-i-lewokanałowych. Świat się zmienił. Radio się zmieniło. Taka niepozorna kostka, a tyle w niej głosów, tyle muzyk najróżniejszych i żadnych pokręteł... Ale kabelki, choć długie i uwielbiające się plątać, mogłyby być dłuższe. Tak. Zdecydowanie. Łatwiej byłoby manewrować głośnikami. Popatrzył na półkę i odniósł wrażenie, jakby odległość między głośnikami zmniejszyła się. Nie potrafił przypomnieć sobie, czy poprzedniego dnia je przestawiał. Wszystko przez tę ciężką głowę. Nie zwrócił też uwagi na to, że głos, tak przecież dobrze znany, brzmiał nieco inaczej, jakby nieco chrypiał, był ciut bardziej skrzekliwy, drażniący. Wszystko zdawało się drażnić tego dnia. Obręcz migreny zaciskała się na głowie. Głowa zaczęła wołać o pomoc.

Następnego dnia był wtorek. Obudził się rześki, z głową jasną, z umysłem czystym. Jak to po migrenie. Wszedł do kuchni, by włączyć radio i nie miał już najmniejszych wątpliwości, że głośniki stoją za blisko siebie. Stały bardzo blisko siebie. Nie zastanawiał się dlaczego tak jest, skąd ta zmiana. Zdecydowanym ruchem chwycił czarną kostkę, by przestawić ją ze środka półki na jej koniec i omal nie zwałił całego radia na podłogę. Nie spodziewał się, że kable będą takie krótkie. Tak. Kable były krótkie. Dwa dni temu były długie, a teraz były krótkie. Nie skracał ich. Raczej by je wydłużył. Gdyby to był dalszy ciąg migreny i głowę ścisnęła pulsująca obręcz, pomyślałby, że to z zemsty lub na znak protestu przeciwko rozpoczęciu przez niego wielkiego traktatu o plątaniu się kabli, który miał odmienić losy świata obnażając jego chorobliwe skłonności do motania i supłania, ujawniając wszelkie niecne i zacne metody stosowane, by nic nie było proste i jasne. Nigdy jednak nie miał migreny dwudniowej – jeśli zaczynała się rano, to kończyła się tego samego dnia po południu, ból odpuszczał, głowa stawała się lekka jak balon i musiał uważać, by nie uniosła go w powietrze, ponad

dach, ponad czubki bujnych drzew, aby nie w chmury... Nie włączył radia. Śniadanie zjadł w ciszy, w delikatnym szumie i ciągle jeszcze subtelnym dzwonieniu w uszach zastępujących szelest drzew i kląskanie ptaków za zamkniętym oknem.

W środę kable zniknęły, a głośniki szczepiły się z odbiornikiem. A przecież kable powinny być. Głośniki muszą jakoś być połączone z odbiornikiem, żeby otrzymywać z niego sygnał i móc gadać i grać. Ale nie były. Zaglądnął za radio i zobaczył jedynie kabel sieciowy wychodzący z odbiornika. Świat się zmienia, radio też. Kable zamieniono na technologię niebieskiego zęba. Właściwie siniego. Siny ząb. To brzmi zdecydowanie lepiej, niż niebieski. Nawiązuje do poetyki indiańsko-pirackiej. Zamieniono – kto zamienił? Radio? Tak samo z siebie? Pod osłoną nocy? Żeby nikt nie widział. Wypięto kable i zastąpiło je modułem sinozębowym. Interesujące. Nie pamiętał, żeby w specyfikacji urządzenia podanej w instrukcji obsługi znajdowała się chociaż najdrobniejsza wzmianka wydrukowana najmniejszą możliwą czcionką i sugerująca, że po ale

iluś tam godzinach grania radio samo zdecyduje czy przejść z połączenia kablowego na bezkablowe. Taki moment właśnie nadszedł i zdecydowało. Niech mu będzie. Szanował radio jako byt odrębny i niezależny, a zatem posiadający prawo do samostanowienia, do grymasów, fochów, faz i much w nosie, nawet jeśli nie miało nosa – much i innych bytów latających było już całkiem sporo, jak to na wsi na początku lata. Mimo całego uznania postanowił rozstawić głośniki. Niech się komunikują z odbiornikiem za pośrednictwem jakichkolwiek fal, nawet sinych, ale nie powinny stać obok siebie, nawet jeśli miałyby przedzielać je kostka tunera. Nie po to kupował właśnie taki model, żeby on teraz udawał radio przenośne, a jeśli by chciał udawać, to powinien sprawić, żeby przez noc wyrosła mu zgrabna rączka. Rączka nie wyrosła. Chwycił więc jeden głośnik lewą ręką, drugi prawą... I na tym się skończyło. Głośniki były przytwierdzone na stałe. Przytwierdziły się. Przyrosły. Przykleiły. Radio nie było już trzema zgrabnymi czarnymi kostkami do gry, monstrualnie powiększonymi i pozbawionymi kropek (świecące cyjanowym światłem cyferki, literki i inne symbole bynajmniej

nie udawały kropek). Teraz, gdyby ktoś uparł się kontynuować metaforę gry, radio dałoby się porównać do spotworniałej kostki domina, a jeśli nie spotworniałej to raczej otyłej niż napakowanej, nie utraciwszy wszakże nic ze swojej uroczej kanciastości. Niewidziane! – pomyślał i włączył radio.

Głos, który wydobywał się z głośników był niby taki sam jak zwykle o tej porze, a jednak inny. Nie był żadnym z tych głosów, do których się przyzwyczał. Był do nich podobny. Był jakby ich wypadkową. Jakby je wszystkie zmieszano, z każdego wzięto najbardziej charakterystyczne cechy i stworzono z nich jeden. Głos uniwersalny. Czy tak? Czy jednak to tylko takie wrażenie spowodowane niezwykłą metamorfozą urządzenia. Charakterystyka akustyczna głośników była teraz niewątpliwie inna. Zastanawiało jednak i to, że głos się nie zmieniał. Ciągle był ten sam. Żadnych innych. Ciągle tylko ten jeden gadał i gadał. Jak najęty. Tak mówią. Jak najęty. Pewnie dlatego tak chrypiał. To nie było brzęczenie obudowy albo jakiegoś przedmiotu stojącego obok i wpadającego w rezonans. Sprawdził to. Najwyraźniej głos mówił od dłuższego czasu, może nawet całą

noc. Dlatego zachrypnął. Co będzie dalej? Co będzie pod koniec dnia? Strach pomyśleć. Więc przestraszył się i wyłączył radio.

Włączył je wieczorem. Tylko po to, żeby sprawdzić. Nie chciał niczego słuchać. Dalej gadał ten sam uniwersalny głos. Był nawet jakby trochę bardziej zachrypnięty, co nie powinno dziwić, a jednak go zdziwiło. Przecież powinien zamilknąć. Po tylu godzinach. Po ilu? Nie wiedział, bo nie liczył, nie miał też pewności, czy wtedy, kiedy nie słuchał radia nie pojawił się w nim inny głos. Intuicja i intelekt zgodnie podpowiadały mu, że żadnego zastępstwa nie było. Postanowił zmienić stację. Nacisnął jeden z zaprogramowanych przycisków wtopionych w idealnie gładką obudowę, ale głos nie zmienił się. Nic się nie zmieniło. Cyferki, literki, ikonki pozostały te same. Mógł sobie przyciskać co chciał i ile razy chciał, do woli, nawet do przesytu, a z głośników dalej dobywał się ten sam głos. Doprawdy, niesłychane! – pomyślał. – Niesłychane – powiedział na głos i poszedł spać.

We czwartek radio zmieniło miejsce i proporcje. Wielkość chyba też, ale nie było to łatwe do

ustalenia. Nie stało już na półce. Uniosło się nad nią i przyczepiło do ściany. Przykleiło lub przysało. Na pewno nie wbiło w nią gwoźdźca, ani żadnego haczyka. Mimo wysiłków, fizycznego i intelektualnego, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie jak to się dzieje, że trzyma się ściany, że od niej nie odpada. A przede wszystkim, że nie da się go od niej oderwać. Prawdą jest, że nie zastosował żadnych drastycznych metod. Nie przyniósł łomu. Nie użył nawet młotka i dłuta. Nawet nie próbował podważyć urządzenia nożem. Próbował jedynie zrobić to rękami. Perswazji słownej nie używał, wiedział bowiem, że radio pozostanie głuche na wszelkie prośby i groźby. Telepatia też nie wchodziła w grę, ponieważ jego zdolności mediumiczne oscylowały w okolicach zera, więc nawet gdyby radio dysponowało mocą mediumiczną zbliżoną do stu procent, to i tak nic by z tego kontaktu nie wyszło. Niewątpliwie radio zastosowało jakieś najnowsze technologie, o których nie miał niebieskiego pojęcia. Wyraźnie też zmieniły się proporcje. Już nie przypominało kostki domina. Stało się węższe i wyższe. Nieomal kwadratowe. Znaczenie zgrubiało. Szczególnie na dole. W związku

z tym przestało być prostopadłościanem. Kiedy przyłożył policzek do ściany i popatrzył na nie z boku, zobaczył trapez. No i ten kolor. Właśnie. Już nie było takie czarne. Już nie błyszczało jak fortepian. Już znacznie poszarzało. Zmatowiało. Powierzchnia nieco się pomarszczyła, stała się chropawa, jakby dostała wysypki. Nie dotknął jej, żeby sprawdzić. Bał się. Czy to nie zaraźliwe? Odra jakaś czy nawet ospa? Szara ospa. Sina ospa.

A skoro nie dotknął radia, to radio milczało. Niech milczy. Nie interesowało go co miało do powiedzenia. Co innego zaprzętało jego uwagę i nie dawało mu spokoju. Ani na moment nie opuszczało go wrażenie, że radio cały czas przesuwa się i przekształca. Lecz było to tylko wrażenie. A wrażenia są tylko wrażeniami, niczym więcej. Zatem rozsiadł się wygodnie na krześle i rozpoczął obserwację. I nic nie zaobserwował. Czas płynął i nic się nie działo. Nie mógł jednak siedzieć tak bez przerwy. Przerwał więc na chwilę obserwację i wyszedł. Wrócił i dałby sobie obciąć głowę, że radio przesunęło się. Sprytnie. Zacierając po sobie wszelkie ślady, więc zaznaczanie ołówkiem jego pozycji nie miałyby

najmniejszego sensu. Zmierzało w stronę drzwi. Pomyślał, że powinien zainstalować kamerkę i mieć całodobowy podgląd, ze wszystkimi danymi zapisywanymi na dysku. To też nie miałoby sensu. Nie ufał kamerce, ani komputerowi. Na pewno były w zмовie z radiem. Tak. To nie ulega wątpliwości. Taka solidarność rzeczy. To stwierdziwszy udał się na zasłużony spoczynek. Ciało miał rozklekotane, a umysł skołatany.

W piątek musiał wyjechać wcześniej rano. Inne sprawy na tyle go zajęły, że nawet nie spojrzął na radio. Zapomniał o nim. Nie samym radiem przecież człowiek żyje. Nawet jeśli jest ono światem. Wychodząc z domu zauważył kątem oka, że znajdowało się już nad drzwiami. Jeśli to było ono. Lecz cóż innego mogłoby to być? Nie przypominał sobie, by coś wieszkał nad drzwiami.

Wrócił w niedzielę przed południem. Podchodząc do domu już słyszał, że radio gra. Nie zdumiało go to. Nic go już nie zdumiewało. Zdumiewający fakt samowłączenia się uznał za coś oczywistego, jak najbardziej naturalnego i normalnego. Nie miał też żadnych wątpliwości, że transformacja

dokonała się. Z odrażającej poczwarki wyklął się cudny motyl. Radio było tam, gdzie być powinno, w miejscu dla niego zarezerwowanym i uświęconym tradycją tyleż długoletnią, co zamierzchłą, która ponownie odrodziła się na jego oczach i uszach. Nie wiadomo jednak dlaczego w jego domu. Nie wiadomo czy i w innych domach też. Tego nie sprawdzał. Nie chciał sprawdzać. A radio promieniało. Niczym jutrzienka. Nie. Niczym słońce w zenicie. Było wreszcie tym, czym miało być. Kształtu już nie zmieniło, ani wielkości. Zmieniło materiały. Boki były wykonane z lichego drewna pomalowanego na sino-zielono tanią farbą uroczo pękającą i łuszczącą się zgrabnie. Podobnie wierzch i spód. Boki nieco wystawały zarówno u góry jak i na dole. Przód pokrywał sztuczny materiał o grubym splocie, który swą ordynarnością tworzył prosty, kratkowany wzór wzbogacony ciemniejszymi plamami niewiadomego pochodzenia – prawie jak jutowy worek, lecz zupełnie pozbawiony szlachetnej surowości. I tyle. Pełny minimalizm, lecz jakże inny. Pełny zniewalającego prostactwa i chamstwa. Ach! I jeszcze jeden detal: z boku ebonitowa gałka do regulowania głośności.

Sięgnął do niej od razu i ściszył radio. Radio? Czy to jeszcze było radio czy już głośnik radiowęzła zwany też kołchoźnikiem? To, co się z niego wydobywało, było zadziwiająco adekwatne do wyglądu. Rzekłbyś: idealnie dopasowane. Najmniejszego zgrzytu estetycznego. Również jeśli chodzi o jakość dźwięku. To, co widziałeś, to słyszałeś. Słyszał niewiele. Ściszył radio ile się tylko dało i teraz dobywał się z niego charkot pulsujący poszarpanym rytmem, falujący, roztrzęsiony.

W pokoju na górze rżenie radia było słabo słyszalne, choć miał wrażenie, że to rżęzi jego ciało, że tak chrypi mu w głowie. Wziął ołówek, trochę kartek i zaczął rysować trzy sześciiany. Z początku po to, by uspokoić głowę, by opanować rozwibrowane ciało. W miarę jak rysował nabierał przekonania, że to nie tylko sposób na zagłuszenie radia, lecz jedyna możliwość zdjęcia uroku. Niestety, warunkiem było wykonanie poprawnego rysunku. Stos kartek malał, wypełniał się kosz na śmieci, rysik w ołówku ścierał się w zatrważającym tempie, a trzy sześciiany ciągle nie były ani równe co do wielkości, ani nanizane na jedną nitkę, ani

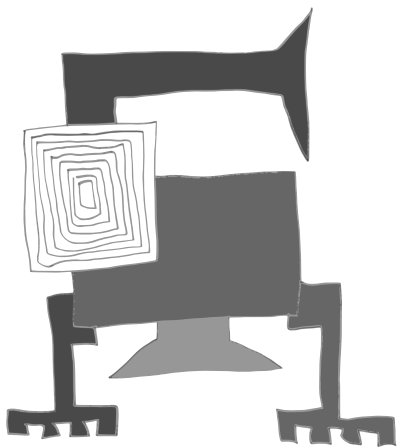
dowolnie poprzekręcane. Nie miało znaczenia czy zaczynał od środkowego, górnego czy dolnego, zawsze któryś był większy od pozostałych, zbyt wydłużony, niedostatecznie skręcony, odchylony od osi, za ciężki lub za lekki... W końcu znużony położył się spać.

Spał twardo. Dopiero nad ranem przyśnił mu się dawny pokój, w którym mieszkał będąc dzieckiem. Kamienica stała przy głównej ulicy miasta, a okna jego pokoju wychodziły właśnie na nią. Nazajutrz ulicą miał przemaszzerować pierwszomajowy pochód, co było wówczas wielką atrakcją i koledzy zazdrościli mu, bo mógł go obserwować z góry i nie wychodząc z domu. Nie wiedzieli jednak, że w ten wolny dzień nie mógł spać do woli tak jak oni, gdyż z samego rana, znacznie wcześniej niż normalnie wstawał, by pójść do szkoły, zaczynał ryczeć wielki głośnik, kilkumetrowy, metalowy, pionowy cylinder na jednej nodze, ustawiony na chodniku tuż pod jego oknem. Huk pieśni patriotyczno-rewolucyjno-wyzwoleńczo-robotniczych wdzierał się przez ceglane mury i podwójne szyby. Przed wyciem i charczeniem solistów, chórów i orkiestr nie

chroniło najgłębsze nawet zanurkowanie pod kołdrę. Mimo to sen był przyjemny, przenosił go przecież w krainę dzieciństwa, a ta widziana z tak daleka, prawie z drugiego krańca, zawsze wydawała się piękna. Jednak w pewnym momencie napięcie pieśni stało się nie do wytrzymania. Głowa mu pękła i obudził się. Radio w kuchni grało na całego. Szalało. Zanosiło się wyklętym chichotem. Rzucił się do niego i zaczął kręcić gałką na bocznej ścianie, ale potencjometr przestał działać. Generował jedynie ordynarny rechot. Chciał wyciągnąć z gniazdka kabel, by uciszyć radio raz na zawsze, ale okazało się, że kabla nie ma. Skąd zatem czerpało energię? Ze słońca? Wskazywałby na to fakt, że zaczęło ryczeć o świcie. A nie ryczało w nocy? Sen deformuje czas, przestawia godziny i pory. Więc jeśli ryczało w nocy, to czy czerpało energię z księżyca i z gwiazd? Oszłomienie pozwoliło mu zjeść śniadanie, bo przytępione zmysły chroniły niczym skorupa. Wszak do czasu. Potem nie pozostawało już nic innego do zrobienia, jak pójść do szopy po łom i siekierę.

Walczył cały dzień. Dzielnie. Najdzielniej. Z pełnym oddaniem. Z poświęceniem. Toczył bój na

śmierć i życie. Aż opadł z sił. Wyszedł z domu w poczuciu pełnej klęski, aczkolwiek nie po to, by skończyć pozbawiony wszelkiej nadziei. Zanurzył się w całkowicie ciemny ogród. Rzęzenie oddalało się i cichło. Nie świecił księżyc. Nie świeciły gwiazdy. Nie potrafił ocenić czy dlatego, że niebo przykrywały grube chmury, czy też radio wysysało z nich całą energię. Noc miała kolor fortepianu. Połyskiwała liśćmi świecącymi swoim własnym, wewnętrznym światłem, jakże nieśmiałym. Równie nieśmiało lśniły jego ręce. To musiało wystarczyć. Być może tylko w takim nikłym świetle dałoby się odnaleźć w chłodnych ciemnościach trzy czarne sześciany, jednakowe co do wielkości, wiszące swobodnie jeden pod drugim, szczipione wierzchołkami, delikatnie poruszane pozbawionym tchu wiatrem.



URZĄDZONKO

Aaaaa... Ale brzydki dzień. Paskudny. To może dzisiaj? Dlaczegoż by nie? Niech będzie dzisiaj. A co tam. Co tam czekać do jutra. Dostyc się naczekaliśmy. To znaczy ja się naczekałem. Oni nie. Oni nic nie wiedzą. Oni się tylko domyślają. Wciąż tylko się domyślają. Jak to się mówi: gubią się w domysłach. Są całkowicie zagubieni w domysłach. I tak właśnie powinno być. Zagubić się i nie potrafić znaleźć wyjścia...

Dzień rzeczywiście był paskudny. Archetypicznie paskudny. Czyli taki jak być powinien. Wszystko powinno być paskudne, więc i dni także. Niech niebo płacze, niech go nie rozświetla uśmiech słońca.

Wstał zadowolony. Czyżby wstał nie tą nogą co trzeba? Czyżby dzisiaj wstał prawą nogą? Zapomniał się? Zawsze wstawał lewą. Dbał o to. Kładł się spać i powtarzał przed zaśnięciem *lewą wstać lewą wstać lewą wstać...* Tak długo to powtarzał, aż zapadał się w otchłań. To zawsze działało. Bezwzględnie i bezwyjątkowo. Nie potrzebował żadnych usypiaczy. Zresztą nigdy nie miał problemów ze snem. Czym tu się martwić? Wszystko szło tak, jak miało iść. I tam dokąd miało. Koszmary go nie dręczyły. Rewolucję

pożerającą własne dzieci uważał za mit. Owszem, ciekawy, ale jednak mit. Przydatny, niekiedy wielce użyteczny, ale mit. Kiedyś widział obraz przedstawiający Saturna pożerającego własne dzieci, cóż jednak miał Saturn wspólnego z rewolucją? Nic. Zupełnie nic. Jako bóg był konserwatystą. Skrajnym? Jak każdy bóg. Zdecydowanie wołał Iwa. Lew nie zjada własnych dzieci. Lew zjada cudze dzieci. Czy wolałby być Saturnem czy lwem? Nie zastanawiał się nad tym – jako osoba bezdietna wyboru nie miał. Nie zastanawiał się na tym, bo to sprawy bardzo drastyczne i nieprzyjemne, nawet odrażające, on zaś był raczej usposobienia łagodnego, wrażliwy z natury... Ale gdyby musiał wybierać, z jakiś tam powodów, nieustalonych i nieistotnych, to raczej skłaniałby się ku lwu... Oślawioną samotność dyktatora też uważał za mit, też godny rozpowszechniania i powielania w rozmaitych wariantach. Samotność zupełnie mu nie przeszkadzała, z samym sobą czuł się świetnie, z samym sobą bawił się całkiem dobrze. Ostatecznie każdy człowiek jest samotny, jeden mniej drugi więcej, nie ma co z tego robić tragedii, tak jest, było i będzie, trzeba się z tym pogodzić i do tego przyzwyczać – banały,

truizmy, prawdy odwieczne. Jeśli czymś sobie zaprzętał głowę, to dwoma końcami kija. Jego uwagę przykuwał ołówek, czyli jakby nie było rodzaj kijka. To, że z jednej strony jest rysik, a z drugiej gumka wydawało mu się nadzwyczaj interesujące – coś się napisze, potem się to zetrze i napisze coś innego i znowu zetrze... Ciekawe, zaiste bardzo ciekawe. Ołówki bez gumki już takie ciekawe nie są. To, co się napisze trzeba zamazać i już się w tym miejscu nie da nic napisać, trzeba pisać obok. Tak, to już nie to samo, to już coś całkiem innego. Zaś całe to gadanie o kiju z jednym końcem mierziło go dogłębnie. Obcy kulturowo bełkot. Tak uważał i był to osąd niepodważalny. Uznawał tylko swojskie *tak tak – nie nie*. Czarne jest czarne – białe jest białe. Oczywiście nie zawsze. Zdarza się, że czarne jest białe, a białe jest czarne. Tak nie – nie tak. Ale żadnych innych kolorów. Żadnych odcieni. Co to to nie. Kota odwraca się ogonem, nigdy bokiem, ani tym bardziej pod kątem. I nie chodzi w tym o to, by nie umrzeć z nudów. Nigdy dość społecznej schizofrenii. Raz jasne jest jasne, a raz jest ciemne. Drugi raz ciemne jest ciemne, a trzeci raz jest jasne. Szpak dziobał bociana,

a potem była zmiana. Czy jakoś tam. Nieważne. Ważne, że ogólnie rzecz biorąc dobrze się bawił. Podszedł do okna. W ogrodzie – raczej w ogródku, przecież składał się nań niewielki trawnik, ze dwa drzewka, chyba owocowe, ze trzy krzaki, jakie? nie wiedział, przyroda go niezbyt interesowała, chyba tylko jako pewna uciążliwość, z którą trzeba niestety żyć, bo podobno nie można się jej pozbyć – stało urządzenie. Maszyna. Urządzenie. Maszyna. Urządzenie... Nie potrafił się zdecydować. Słowo *urządzenie* zdawało się bardziej adekwatne. Urządzenie urządza. A co robi maszyna? Maszyni? Maszynuje? Maszynowi? Zatem urządzenie. Zdecydowanie tak.

Urządzenie nie było duże. Duże urządzenie nie zmieściłoby się do ogródka. Mały człowiek, mały dom, mały ogród, małe urządzenie. Człowieczek... Ludzik? Ludzik chyba lepszy... Zatem: ludzik – domek – ogródek – urządzonko. Takie trochę większe klocki. W zupełności wystarczy. Gigantomanię zostawmy głupcom. Urządzenie było w sam raz. Większe wystawałoby ponad szczelny płot, budziło niezdrowe zainteresowanie i zupełnie niepotrzebne emocje. Chyba nawet lepiej byłoby gdyby powierzchownie nie lśniły nowością,

gdyby kolory nie były tak jaskrawe, tu i ówdzie należałoby może urządzenie odrapać, pobrudzić, czymś zamaskować. Z drugiej strony czyż nie pięknie teraz wyglądało? Właśnie takie jaskrawe. Jak nie z tego świata. Ten świat taki szary, ponurawy, a tu nagle coś tak kolorowego. Papuga wykradziona z dżungli, ryba odłowiona z rafy koralowej. Czy jest jeszcze gdzieś jakaś dżungla? – przemknęło mu przez głowę kłopotliwe pytanie. Chyba już nie ma – przemknęła mu przez głowę niejasna odpowiedź. Podobnie jak prosty, całkiem satysfakcjonujący wniosek: może to i lepiej... Urządzenie nie przypominało papugi. Ani najbardziej nawet fantazyjnej ryby. Jeśli już miało coś przywodzić na myśl to monstrualnego żuka. Na przykład ryjkowca. Ot, choćby żyrafkę mada-gaskarską z rodziny tutkarzowatych. O nie! Tylko nie entomologia. Więc może paleontologia? Jakiś dinozaur? Nie. Jeśli chodziłoby o jakiegoś smoka, to raczej należałoby poszukać potwora na dnie oceanicznych rowów, taki bowiem mógłby służyć za inspirację i wzór, taki co jest pływającą paszczą z doczepionym rachitycznym ogonkiem. Paszczogon? Urządzenie, a raczej urządzonek, nie przypominało też innych znanych urządzeń do

urządzenia świata. Gilotyny – wcale. Rylca z kolonii karnej – wcale, aczkolwiek w tym przypadku pewność ulega zachwianiu; rylec znamy bowiem jedynie z opisu, a opisy, nawet najprecyzyjniejsze, są tylko opisami, uruchamiają wyobraźnię, a ta produkuje u każdego inny obraz, nawet gdyby ich wspólną cechą była pewna owadziość tego aparatu (och, znowu ta entomologia!). Tym bardziej nie przypominało żadnej z maszyn skonstruowanych przez genialnych lecz jakże dobrodusznym Klapaucjusza i Trurla – ich maszyny grzeszyły bowiem fantastyczną nierealnością, podczas gdy to urządzenie było jak najbardziej realne. Jak realna była gilotyna... Chyba najbardziej podobne było do rozdrabniacza gałęzi. Widział kiedyś taki rozdrabniacz przejeżdżając koło parku. Bardzo go zainteresował i chciał poznać jego przeznaczenie. Zapytał kierowcę. Kierowca, który też świat oglądał głównie przez szybę samochodu, powiedział, że to chyba urządzenie służące do rozdrabniania niepotrzebnych gałęzi. Bardzo go to zaciekało. Nie przemknęło przez jego głowę. Wpadło do niej i zostało... Przypominało też trochę strugaczkę ołówków. Taką przykręcaną do

stołu. Na korbkę. Jak maszynka do mięsa. Maszynkę do mięsa też przypominało, lecz ta wydawała się nader wulgarna i pozbawiona jakiegokolwiek wyrefinowania (to chyba dobrze? chyba tak właśnie powinno być?). Zdecydowanie wolał strugaczkę. Strugaczka nie masakrowała, ona tylko strugała. Ostrzyła... Niezwykłe w urzędzeniu było to, że z której by go strony nie oglądać, co innego przypominało, tak zmienna i nieuchwytna była jego forma. Niekiedy dało się w niej dopatrzeć nawet konia. Takiej też było wielkości. Czyli nieco za duże. Lepszy byłby kucyk. Widocznie zaważyły względy natury technicznej. Ostatecznie można uznać, że było wielkości kobyły. Kobyła jest chyba trochę mniejsza niż koń.

Kobyła. Kobyła historii. Oto urządzenie do zajeżdżania kobyły historii. Pamiętał ten wiersz. Jego pokolenie musiało ten wiersz czytać, omawiać, analizować. Przerabiać – tak się mówiło. Całego wiersza nie pamiętał. Właściwie to pamiętał tylko tę linijkę: *zajeździmy kobyłę historii*. O ile cały wiersz przemknął mu przez głowę, jak chyba wszystkim, kto by tam wtedy przejmował się jakimiś futurystami, to ten wers nie przemknął, lecz w niej utkwiał. Jak jakiś gwóźdź. Albo tasiemiec bąblowiec.

Szkoły nie wspominał ani dobrze, ani źle. Wyjątkiem była zabawa w kobyłki. Jeśli tak to się nazywało. Nie mógł sobie przypomnieć. Nie mógł sobie przypomnieć, czy ta zabawa w ogóle miała jakąś nazwę. Traumatyczne było już skakanie przez kozła na lekcjach wychowania fizycznego. On mały, a kozioł duży. Cóż tu jeszcze tłumaczyć. Bywało, że udawało mu się podskoczyć na tyle wysoko, że lądował na brązowym, wyslizganym grzbiecie gimnastycznego przyrządu. Co było chyba znacznie gorsze niż gwałtowne zatrzymanie się przed, uderzenie weń tułowiem, czy nawet potknięcie się, upadek. Siedział na kozle i nie mógł z niego zejść. Gramolił się i gramolił, co potrafiło doprowadzić go do łez. Na szczęście ich gorycz pomniejszał fakt, iż nie on jeden zmagał się z tym koszmarem. Marne to jednak pocieszenie... A potem ta nieszczęsna gra. Wszyscy chłopcy tak zręcznie przeskakiwali jeden przez drugiego, tylko nie on. On potrafił się tylko zręcznie schylić (jak tu nie cenić małości) i każdy kolega przeskakiwał przez niego z łatwością, podczas gdy on nigdy nie przeskoczył żadnego... A może nie bawili się, nie grali w kobyłki? Może wyobrażeniem zastąpił brak wspomnienia? Jakże

bowiem wytłumaczyć to, że wiele lat później jego ulubionym programem telewizyjnym stało się rodeo? Nie oglądał wiele. Po co miałby oglądać? Ale to jak dosiadają konie i byki, jak z nich spadają, jak te konie i byki wyginają w łuk grzbiety, jak wierzgają, jak miotają się, żeby zrzucić jeźdźca, co ci jeźdźcy wyprawiają, by nie dać się zrzucić – to go fascynowało. I, o dziwo, uspokajało. Odprężało i relaksowało. Zapewne dałoby się to wytłumaczyć wielce pokrętną psychoanalizą. Stworzyć jakiś nowy syndrom, powiedzmy kopenhaski lub helsiński: przekształcenie traumy w fascynację... Lecz to wszystko to tylko ujeżdżanie. Teraz miało nastąpić zajeżdżenie. I nie takie, o którym pisał pewien uczonek, marny zresztą, pochodzący, sądząc po nazwisku, z kraju, w którym kije mają jeden koniec. Wieszczył ten autor, że historia się właśnie skończyła i więcej już nas nie będzie męczyć, a tu, jak zwykle, skończyło się na wieszczaniu. Tak to jest, kiedy się pisze, a nic nie robi. Trzeba robić, a nie pisać.

Włożył buty i wyszedł do ogródka. Mógłby wyjść w kapciach, ale coś mu podszeptało, że nawet ta odrażająca historia zasługuje na odrobinę

szacunku, którą wyraziłyby właśnie stare buty o startych obcasach i przygniecionych piętach, a której nie wyraziłyby kapcie. Cóż to mogło być to, co mu podszeptało takie bzdury? Raczej należałoby się obawiać rosy – kapcie by przemokły, dostałby kataru, a to popsułoby zabawę.

Zabawa zapowiadała się przednio. Otóż, urządzenie miało usunąć raz na zawsze, czyli ostatecznie i bezpowrotnie wszelkie pozostałości tego okropnego, złego, paskudnego, zwyrodniałego systemu określonego różnymi słowami na **k**, na **b**, na **m**, na **s**, na **l** na **u** i kto wie jakimi jeszcze innymi i czy by starczyło liter w alfabecie, które to resztki teraz zatruwały życie porządnych, cnotliwych obywateli, prawdziwych patriotów, nie pozwalały im rozwinąć skrzydeł, odbić się od ziemi i pofrunąć w niebo, we wszystkim im przeszkadzały, były winne wszystkich nieszczęść i w ogóle. Ech, szkoda gadać. Po oczyszczeniu państwa i narodu z tych śmieci, z tych gnijących odpadów, z tego szamba przeszłości, będzie wreszcie można ruszyć świetlaną drogą ku przyszłości. Prawą marsz! Wszyscy odetchną z ulgą i odmaszerują ochoczo. Zniknie to, co niechlubne, pozostanie tylko to, co chlubne. (Tu

na czole pojawiła się drobna zmarszczka, a na twarzy lekko kwaśny grymas. Jak pogodzić chlubność rzeczy z jej, z ich, pospolitością? Zmarszczka zniknęła, grymas zmienił smak na lekko słodki. Nikt nie będzie zwracał uwagi na takie subtelności niesiony falą prostackiego entuzjazmu.) Teraz dopiero zostanie zbudowany zupełnie nowy system. Prawdziwy. Dobry. Rzetelny. Sprawiedliwy. Raz na zawsze. Nikt go już nie będzie zmieniał. A przede wszystkim historia. Ten nowy system będzie zupełnie taki sam jak ten stary, tylko lepszy... Nie znał przecież żadnego innego systemu. W nim się urodził, w nim się wychował, w nim spędził całe życie, nie znał żadnych innych systemów, cóż tu więc kombinować? Trzeba zmienić wszystko nie zmieniając niczego. Czyli jeszcze raz tak samo, lecz całkiem inaczej. I tyle. I już.

Urządzenie prezentowało się bardzo dobrze. Te dziwne rury, dźwignie, pokrętła, paszcze, ziejące czernią otwory, śmigła, turbiny, lampki wzbudzały zaufanie. Żadna tam sztuczna inteligencja. Zwyczajna, prawdziwa, brutalna, naturalna tępotą. Blachy. Stal. Żeliwo. Guma. Takie miało być to urządzenie i takie było. Tak zarządził, a jeśli tak

zarządził, to tak musiało być zrobione. Bez gadania. I bez sprawdzania. To też zostało zarządzone. Żadnych testów. Tylko on miał prawo je uruchomić. Przeznaczenie i funkcje urządzenia jawiły się jego wykonawcom mgliście, a on nie miał bynajmniej zamiaru tej mgły rozpraszać. Niejasność zawsze była i jest mile widziana. Nie chodziło też o to, by uruchomić urządzenie, a raczej urządzonko, uroczyście i z pełną pompą. Co to to nie. Nikt nie znał dnia ani godziny uruchomienia. Nawet on. Chciał sobie zrobić niespodziankę. Wstanie kiedyś i powie sobie: to dziś. Dlatego urządzenie stało już jakiś czas w ogródku, na tyle długo, że wszyscy o nim zapomnieli coraz bardziej przekonani, że to kolejna niegroźna fanaberia. Dziwactwo szalonego starca. I dobre. Tym większa będzie niespodzianka.

I była. Ogromna. Dokładnie taka o jaką chodziło. Przekręcił pokrętko kilka razy w obie strony zgodnie z podanym szyfrem i urządzenie ożyło. Lekko się zatrzęsło, jakby przeszedł przez nie dreszcz rozkoszy. Uniosło jedną ze swych paszcz i zaczęło bez ceremonii i certolenia się pochłaniać stojący tuż obok dom. – Stój! – krzyknął. – Co

robisz?!... Podbiegł do urządzenia, odsunął się bowiem trochę, by lepiej podziwiać jego działanie, i już miał ująć dłonią pokrętło, gdy ujrzał kątem oka ciemną wsysającą otchłań, a kątem ucha, lub uchem wewnętrznym, usłyszał jak dziwny głos będący niemożliwym połączeniem mlaskania ze zgrzytliwym turkotem mówi: - Urządzam. Zmieniam na lepsze...

To żadna niespodzianka. Wiadomo było przecież od początku, że jako relikwiarz poprzedniego systemu, jako śmieć i gnijący odpad, zostanie pochłonięty. Tu nie ma żadnych zaskoczeń. Pewnym zaskoczeniem może być takie oto pytanie wypowiedziane zupełnie normalnym głosem: no dobrze, lecz co dalej?

No właśnie - co dalej?

Miał rację uważając, że ten marny uczyony pochodzący z kraju gdzie kije mają jeden koniec, klaszcze się jedną ręką i wygaduje się jeszcze więcej takich bzdur, bo na to wskazywałoby jego nazwisko, mylił się ogłaszając koniec historii. Historia, jak i każda składająca się na nią historyjka (jedną z nich jest historyjka ludzkości), nie ma końca. Zawsze przecież coś się dzieje. Lecz on też się pomylił. Koszmar powrócił. Nawet jeśli

przyjąć, że udało mu się dosiąść kobyły historii, to z całą pewnością jej nie ujeździł. Tym bardziej nie zajeździł. Nikomu się to nie udało. Wszyscy spadali i byli tratowani. Są takie reguły, które nie mają wyjątków...

No dobrze, lecz co dalej? Urządzenie zostało uruchomione, więc działa. Pochłania. Nie wiadomo kto miałby je zatrzymać i jak miałby to zrobić. Jest duża szansa, że urządzenie się zepsuje, wszak zostało wymyślone i zrobione z pełnym poszanowaniem ducha tamtych czasów, a jeśli tak, to mimo solidnego wyglądu, mimo pozorów niezniszczalności jaką gwarantuje toporność, wymyślili je i wykonali partacze, a nie dobroduszny Trurl z Klapaucjuszem, którzy zresztą też pochodzili z tej przeklętej epoki i byli jej żałosnym pomiotem, więc i ono samo jest partaczem i na pewno prędzej czy później coś spartoli i się zatnie. Świadomie używam słowa *szansa* a nie *nadzieja*. Tym razem świat nie zostanie ocalony i dalej będzie trwał w swym niepojętym szaleństwie.



ROZBRAT

Kolejny, nie wiadomo już który, nie jest wykluczone, że ostatni, Kongres Fantastyki Politycznej DD 2030 miał się ku końcowi. Właściwie to już się skończył. Został tylko jeden prelegent i nikt nie spodziewał się, że powie on coś, czego wcześniej nie słyszano. Wszyscy chętnie by już wyszli, takiej ewakuacji sprzyjałby miękki półmrok panujący w pomieszczeniu oraz słabnący wzrok mówcy. To, że zostali, nie wszyscy, oczywiście, wynikało jedynie z podświadomego, niejako instynktownego szacunku, u podstaw którego tkwił rodzaj prelegenckiej solidarności – każdemu przecież mógł się przydarzyć wątpliwy zaszczyt bycia ostatnim i zamykania obrad, nikt nie chciałby mówić do pustych krzeseł (jak przystało na kongres fantastyki odbywał się on w sposób całkowicie niefantastyczny, tradycyjnie i standardowo, co uczestnicy bardzo sobie cenili), a poza tym prelegent był starym wariatem, na tyle starym, że zachodziło podejrzenie, iż więcej już nie wystąpi, warto było więc być świadkiem tego wystąpienia, żeby potem opowiadać jak to mu się w głowie pomieszało, wątki się gubiły, a dygresje mnożyły bez umiaru.

Zaczął tak:

Drodzy Państwo...

Och, chyba raczej: Drogie państwo...

Czyżby utknął już na samym początku? Zapomniał o czym miał mówić? Jednak nie. A tak dobrze się zapowiadało.

Wiele już napisano i powiedziano o państwach idealnych. Tak wiele, że pisanie i mówienie czegoś nowego zakrawa na bezczelność graniczącą z szaleństwem przede wszystkim jest wyrazem braku szacunku dla ludzkiej cierpliwości, jak również wyobraźni. Każdy jednak uważa, jawnie lub skrycie, że jego tekst będzie na wskroś oryginalny, a jeśli nie, to z pewnością wniesie ożywczy powiew do zatęchłego gmachu fantastyki politycznej, w którym się właśnie znajdujemy i z którego za chwil parę wyjdziemy odetchnąć świeżym powietrzem realności. A skoro każdy, to także i ja.

Odetchnął płytko, a z nim odetchnęli inni.

Najpierw ustalimy jakimi cechami powinno się odznaczać państwo idealne, a potem sprawdzimy, czy któreś z istniejących państw zbliżyło się do tego ideału lub nawet ma szansę wkrótce ten ideał osiągnąć. Zastanowimy się też, co będzie się działo dalej, kiedy to państwo już ów

ideał osiągnie. Życie przecież nadal będzie się toczyć, nawet jeśli czas przestanie płynąć, co nie będzie takie zaskakujące w świecie idealnym.

Odetchnął głęboko, tak głęboko, iż wydawało się, że już więcej nie będzie oddychał, że zaczerpnął wystarczająco powietrza, by resztę przygotowanego tekstu powiedzieć na jednym oddechu, co dawało nadzieję na krótkość tekstu i zostało przyjęte przez słuchających, w większości wariatów w średnim wieku, z wyraźną ulgą.

Ponieważ koło jest figurą idealną, państwo idealne też powinno mieć kształt koła. Ze względu na nieregularność terenu i przeróżne fluktuacje topograficzne, nie należy oczekiwać, że będzie to koło idealne, jak wykreślone od cyrkla. Obrys zbliżony kształtem do koła, też będzie odpowiedni, wręcz znakomity – drobne rysy na ideale tylko uwiarygadniają jego realność. Należy bowiem podkreślić z całą stanowczością, że mówimy o ideale realnym, czyli takim, który jak najbardziej da się wcielić w życie, a nie o ideale idealnym, który da się wcielić jedynie w śmierć.

Niestety, krótko nie będzie, ale długo chyba też nie.

Na północy powinno być morze, a na południu góry. Dobrze byłoby, gdyby takie koło się kręciło. Wtedy morze raz byłoby na północy, a raz na południu, zaś góry raz na południu, a raz na północy. Po drodze także na wschodzie i zachodzie. Tak dobrze jednak nigdy nie było, nie jest i nie będzie. To by zachwiało stabilnością ideału. Ideał nie może pozwolić sobie na żadną niepewność. Lepsze jest wrogiem dobrego, więc choć mogłoby być lepiej, jest dobrze: morze zawsze jest na północy, a góry na południu. Przypominam: bądźmy realistami nawet głowy zanurzając w chmurach.

Przez środek tego prawie kolistego terytorium powinna płynąć rzeka. Jej biegu nie wytycza jednak średnica, o nie. Czy rzeka przepływa przez środek? O tak. Niekoniecznie musi to być środek ściśle geometryczny, ten bowiem byłby trudny do wyznaczenia zważywszy nieregularność konturów, wystarczy więc, że będzie przepływać przez obszar centralny, i w tym to obszarze, na obu jej brzegach będzie usytuowana stolica państwa. Rzeka miałaby swoje źródła w górach, przy południowej krawędzi państwa. Najpierw płynęłaby na wschód, potem na północny wschód,

dużym, łagodnym, miękkim łukiem zakręciłaby na północny zachód, przez chwilę płynęłaby prosto na zachód, by potem znowu zacząć skręcać ku północy, czyli na północny zachód, a następnie bardzo podobnym, łagodnym, miękkim łukiem zawrócić na północny wschód i ostatecznie ująć do morza mniej więcej na szerokości geograficznej swych źródeł. Ujmując to prościej i bardziej obrazowo, rzeka powinna kreślić swym biegiem dosyć regularną literę S dzieląc terytorium państwa na dwie w miarę równe części. To bardzo ważne. To kluczowe dla całej koncepcji. Albowiem litera S wpisana w okrąg, umieszczona w kole, daje znak podobny do słynnego IN-JANG. Podobny – trzeba to mocno zaakcentować. Zamiast dwóch kropek, zresztą nie zawsze występujących, umieszczonych w środkach „przecinków” lub „łez”, jak kto woli, tu mamy jedną kropkę, a właściwie nieregularną plamę umieszczoną w środku całego koła. Istotną różnicą jest także to, że nasz znak jest lustrzanym odbiciem in-jang (yin-yang), a to dlatego, że rzeka płynie niejako odwrotnie, czyli na wschód potem na zachód potem na wschód, a nie na zachód potem na wschód potem na zachód. Dla wielu to

różnica zupełnie nieistotna, albowiem nie-wpływająca w jakikolwiek sposób na zasadę przemienności i uzupełnienia się – inni będą to uważać za profanację, dowód oddziaływań diabelskich. Jeszcze inni z zadowoleniem stwierdzą, że podobieństwo jest przypadkowe i nie świadczy o niedopuszczalnym wpływie obcych, niezrozumiałych i nieakceptowalnych ideologii. Zaś ci myślący bardziej zdroworozsądkowo, dojdą do wniosku, że niezależnie od tego czy ciec mieszamy w lewo czy w prawo, cukier i tak się rozpuści. Ba! Cukier rozpuści się nawet kiedy nie będziemy mieszać cieczy (chyba że jego stężenie będzie zbyt duże). Po co więc mieszać? Po to, by życie było ciekawsze, by z nudów nie umrzeć. Tu trochę się zaciął, jakby przypomniał sobie, że o czymś zapomniał, że coś pominął.

Należy zaznaczyć, że kolory nie mają żadnej wartości symbolicznej i semantycznej. Ot, po prostu występują dla lepszego kontrastu. Biały z czarnym. Biały z czerwonym. Czarny z żółtym. Niebieski z żółtym. Zielony z niebieskim...

Jak zwykle miał tylko konspekt wystąpienia. Uwielbiał improwizować. Dla nikogo nie było to zaskoczeniem.

To tyle jeśli chodzi o strukturę przestrzenną państwa idealnego. Raczej państwa, które stanie się wnet państwem idealnym. Warto mieć w głowie ten in-jangowy, lub jang-inowy, charakter przestrzeni państwa. Warto też pamiętać, że in (yin) utożsamiane jest z tym co miękkie, ciemne, wilgotne, bierne, zamknięte, niskie, ponure i tak dalej, zaś jang (yang) z tym co twarde, jasne, suche, aktywne, otwarte, wysokie, wesołe i tak dalej. Przede wszystkim należy jednak zdać sobie sprawę z pozorności tej in-jangowości, a to z tego powodu, że w naszym przypadku in (yin) i jang (yang) nie są komplementarne, nie dopełniają się. Nigdy. Przenigdy. Podkreślmy to i pogrubmy, bo to jest klucz do wszystkiego: **nie dopełniają się nigdy, przenigdy**. Są to zasady sobie wrogie i obce i jako takie nie powinny być ze sobą mieszane. Co więcej, jedna uważana jest za lepszą od drugiej, albo każda gorsza od każdej, co wprowadziłoby w wielkie zdumienie starożytnych mędrców, a nawet i głupców.

Wykonał stosowne, podkreślająco-przekreślające ruchy rękami. Choć całkiem stanowcze i nawet zamaszyste, nie były zbyt dobrze widoczne.

Niektórzy słuchacze mogli mieć przymknięte powieki.

Państwo przedidealne powinno być w miarę jednolite etniczne. To bardzo ułatwia późniejszy podział. To sprawia, że mechanizm podziału jest klarowny i nie można go odwlec powołując się na uprzedzenia rasowe lub jakiegokolwiek inne. Państwo przedidealne powinno być także w miarę jednolite kulturowo, co oznacza, że absolutna większość jego mieszkańców powinna mówić tym samym językiem, a różnice dialektalne czy gwarowe powinny być nieistotne i nie utrudniać porozumiewania się, co najwyżej wywoływać uśmiech i być przedmiotem nieszkodliwych żartów. Dobrze jest, gdy takie państwo jest też w miarę jednolite wyznaniowo, aczkolwiek nie jest to tak ważne jak jednolitość lingwistyczna. Proszę zauważyć, że nie używamy tu kryterium narodowościowego, a to z tego powodu, że stało się ono całkowicie nieprzydatne, podobnie jak odnośnienie się do plemienności lub klanowości, nawet wspólnotowość rodzinną, czy sąsiedzka, całkowicie pozbawiono znaczenia. Zdecydowanie najważniejszy jest język, dlatego tak bardzo podkreślaliśmy to, że na terytorium państwa

musi panować niepodważalnie jeden idiom. Dopiero wtedy widać jak na dłoni, że niemożność porozumienia się nie ma swych korzeni ani w podziałach klasowych, ani rasowych, ani etnicznych, ani religijnych, lecz nieomal wyłącznie w semantycznej schizofrenii. Dla jednych bowiem wolność to niewola i zniewolenie, a niewola i zniewolenie to wolność czują się wolni tylko kiedy są całkowicie oplątani i opętani tradycją, kiedy odpowiadają za nic, bo za wszystko odpowiadają normy zwyczajowe i prawo niepisane, czyli wolność sprowadza się do bezmyślnego trwania w formie zniewolenia wybranej przez ich pradziadów i prababy; to jest ta wolność od, czyli od odpowiedzialności, i wolność do, czyli do zniewolenia, poddania się a dla drugich odwrotnie i dalej: miłość to nienawiść a nienawiść to miłość, prawda to kłamstwo a kłamstwo to prawda, sprawiedliwość to niesprawiedliwość a niesprawiedliwość to sprawiedliwość, szczęście (szczególnie czyjeś) to nieszczęście a nieszczęście (szczególnie czyjeś) to szczęście, piękno to brzydota a brzydota to piękno, dobro to zło a zło to dobro... Tu należy przypomnieć, że tak zwane prawo Kalego nie ma

nic wspólnego z takim lub innym dziedzictwem kulturowym i historycznym; prawo Kalego jest prawem uniwersalnym, niezmiennym i stałym, tak jak prawem uniwersalnym jest prawo grawitacji, reguły termodynamiki, czy twierdzenie Pitagorasa, więc przykładanie do niego miarki hipokryzji nie ma najmniejszego sensu. Co więcej, prawo Kalego stanowi podstawę całej ludzkiej moralności, czy nam się to podoba czy nie. Tak po prostu jest i tyle. Dobrze o tym pamiętać, bo przyda nam się to w dalszych rozważaniach... Zatrzymał się na chwilę, bo poczuł, że zagłębia się w labirynt dygresji, z którego nie wyjdzie. Już niewiele brakuje, a stół będzie krzesłem zaś krzesło stołem, okno drzwiami a drzwi oknem, tryb przypuszczający będzie stwierdzeniem a tryb twierdzący przypuszczeniem, czas przeszły przyszłym, przyszły przeszłym, formy dokonane będą uważane za niedokonane a niedokonane za dokonane. Niby wszyscy posługują się ciągle tym samym językiem, ale jakby mówili w dwóch zupełnie innych, niezrozumiałych dla siebie językach. Znowu się zaciął. Tym razem na trochę dłużej. Nie na tyle długo jednak, żeby określić tę przerwę

jako zamyślenie, czy nawet przeniesienie się w inny wymiar. Jakby chciał dokonać błyskawicznej analizy, tego co powiedział, znaleźć błędy i je poprawić. I znowu ruszył.

Skoro została wywołana nauka, to należy stwierdzić, że w państwie przedidealnym przestaje ona być jakimkolwiek punktem odniesienia. Najwybitniejszy nawet naukowiec cieszy się, to znaczy smuci się zerowym autorytetem. Obywatele państwa przedidealnego wiedzą bowiem lepiej. Wszyscy wiedzą wszystko i wiedzą lepiej, wiedzą najlepiej, nikt im więc nie będzie wciskał ciemnoty popartej jakimiś tam dowodami, a nie popartymi emocjami i głęboką, prywatną ignorancją.

W państwie przedidealnym muzyka dawno przestała łagodzić obyczaje. Muzyka jątrzy, rozdrażnia, prowadzi do awantur więcej niż karczemnych. W ogóle wszelkiego rodzaju sztuka staje się cudownym pretekstem do skakania sobie do gardeł. O literaturze nie ma nawet co wspominać, jako że ci co czytają książki nie mają absolutnie żadnej wspólnej płaszczyzny porozumienia z tymi, którzy nie czytają książek uważając je za makulaturę nienadającą się nawet do

podcierania ich szlachetnych tyłków. I dobrze. O to właśnie chodzi, żeby nie było jakiegokolwiek wspólnej płaszczyzny w jakiegokolwiek dziedzinie. Chodzi o to, by porozumienie się było absolutnie i całkowicie niemożliwe. W osiągnięciu takiego stanu bardzo pomaga traumatyczna historia państwa. Bardzo mile widziane są liczne porażki i klęski, które sprawiają, że wszyscy dookoła uważani są za wrogów mających niecne zamiary, za złych i zepsutych do szpiku kości. To rodzi kompleksy, frustracje i fiksacje, ambicje stają się wybujałe niczym wiklina w przydrożnym rowie, oczekiwania tak wielkie, że niemożliwe do zaspokojenia, co rodzi kolejne frustracje i tak dalej. Traumatyczna historia pomaga też w oskarżaniu współobywateli o zdrady i obrzydliwe konszachty z wrogami. Tak oto brat staje się bratu wilkiem, gorzej – hieną, sępem, tasiemcem, wrzodem, liszajem i wszą.

Społeczeństwo, świadomie nie używamy słowa naród, które osiągnęło taki stan jest idealnie przygotowane do przeprowadzenia rozbratu. Po rozbracie państwo przedidealne przeskakuje na kolejny poziom, już ostatni, najwyższy, i staje się państwem idealnym.

Zatrzymał się. Zamarł, ale nie zmarł. Chyba zbierał siły na finisz. Ponownie dokonywał szybkiej analizy tego, co powiedział, a raczej tego, co pamiętał, że powiedział.

Okres rozbratywania będzie zapewne trochę trwał, aczkolwiek nie tak długo, i będzie mu towarzyszyć niejedna turbulencja, potem jednak na państwo spłynie niebiański spokój.

Samo rozbratywanie jest bajecznie proste: ci którzy poczuwają się do tego, że są jang (yang) przechodzą na lewy brzeg rzeki, ci zaś którzy poczuwają się do tego, że są in (yin) – na prawy. To może wydawać się nieco kontrowersyjne, albowiem prawa strona przypisywana jest jang (yang), podczas gdy lewa in (yin). Takich krzyżowych rozwiązań może zresztą być więcej. Nie szkodzą one rozbratywaniu. Nawet mogą nieco pomóc uspokoić emocje. Szczególnie u tych, którzy nawet w algebrze doszukują się świadomego poniżania i wywyższania i przypisują algebraicznym symbolom znaczenia, z którymi te nie mają nic wspólnego... Oczywiście nie przyniosą ukojenia, lecz kolejną falę wściekłości, ale nawet i ona opadnie, kiedy wreszcie na rzece zostaną podniesione mosty. Bo mostów wcale nie

trzeba zrywać i palić, wystarczy przerobić je na zwodzone.

Pauza. Wcale nie dramatyczna. Półnutowa.

A jeśli rzeka wyschnie? Miejmy nadzieję, że nie.

Tym razem pauza całonutowa.

Kiedy już wszyscy zajmą swoje miejsca, ci którzy marzyli o zamknięciu się, zamkną się, będą się kisić we własnym sosie, nikt się do nich nie będzie wtrącał i niczego im nie nakazywał, ani nawet nie proponował, o nic nie prosił, niczego nie wymagał. Nikt do nich nie będzie przyjeżdżał i oni nie będą do nikogo jeździć, nigdzie przecież nie będzie im lepiej niż u siebie. Otorbią się niczym jakaś monstrualna cysta i tak będą trwać, a świat dookoła nich będzie dbał, by ta cysta nie pękła. Zaś ci, którzy marzyli o byciu społeczeństwem otwartym, otworzą się, tak się otworzą, że rozplyną się w otaczającym świecie, a świat rozplynie się w nich. I jedni i drudzy będą szczęśliwi. Nikt nikomu nie będzie wadził. O to przecież chodzi w państwie idealnym.

Fermata. Zawieszenie. Sprawdzał czy czegoś nie zapomniał.

Dziękuję Państwu i państwu za uwagę.

Westchnął z ulgą. Chyba nie, a nawet jeśli, to trudno. Zastanawiał się też, jak w mowie odróżnić wielką literą od małej. Majuskułę od minuskuły. Po raz nie wiadomo już który, może po raz ostatni.

Na sali panowała cisza. Bywa, że cisza zwiastuje burzę, bywa też, że jest wyrazem zakłopotania. Mogła też być oczekiwaniem na uzupełnienie wystąpienia, pewną erratę, jako że przemawiający jednak o czymś zapomniał, o czymś istotnym, co zapowiadał we wstępie. Uzupełnienie jednak nie następowało. Wtedy ciszę przerwał nieokreślony głos wydobywający się z nieokreślonego miejsca mocno rozmazanej w półmroku widowni:

– Rozumiem, że te rozważania, ta wizja tak przekonująca, tak porywająca dotyczyła braci. A co z siostrami, jak również innymi krewnymi i powinowatymi?

Znowu cisza. Gdyby tu były jakieś uszy, to by w nich dzwoniło. Grube krople rzadkiego, ciepłego deszczu tłukły się chaotycznie o blaszany dach.

Sztuczna inteligencja cierpliwie czekała na odpowiedź.

w i r u s

Panie doktorze, pan pewnie sobie pomyśli, że zwariowałem, ja stary chłop jak nic zwariowałem i opowiadam niestworzone historie, we łbie mi się pomieszało i ma pan rację, bo mi się pomieszało, zresztą jak miało się nie pomieszać, kiedy takie coś mi się przytrafiło? Widzi pan te kolorowe litery? Widzi pan? Nie widzi? To pan zobaczy. Tak jak ja zobaczyłem.... Bo ja całe życie mówiłem czarnymi literami, a teraz, od dwóch tygodni mówię kolorowymi. Wszystkie samogłoski są kolorowe i już kilka spółgłosek. Co dzień jakaś litera przestaje być czarna i staje się kolorowa. Co to będzie dalej? Co będzie? No tak, skąd pan może wiedzieć co będzie, jak nie wie pan co było? To powiem panu co było i jak było. Niczego nie będę ukrywał. Powiem jak na spowiedzi. Co ja mówię. Lepiej i więcej panu powiem niż na spowiedzi.

Będzie ze dwa tygodnie jak się obudziłem, jakoś tak dziwnie się obudziłem, tak jakbym się nie obudził. Tak to czułem, że się obudziłem i nie obudziłem. Wie pan, jak to jest, czasami, aczkolwiek rzadko, zdarza się, że śni się człowiekowi, że śni, prawda? To normalne, mnie też się tak zdarzało, innym też się tak śniło, też miewali sen

w śnie, opowiadali mi o tym, a ja im, nigdy jednak nie zdarzyło się, żebym obudził się i nie obudził, żebym obudził się i dalej śnił... Nie, nie, z całą pewnością nic mi się już nie śniło. I z całą pewnością nie chodziło o to, że śniło mi się, że się obudziłem i wstałem. Tak jak nie śni mi się, że jestem u pana, że przyszedłem do przychodni, żeby to panu doktorowi opowiedzieć. Nie. Na pewno już nie spałem i nic mi się już nie śniło. Chyba że mi się śniło na jawie. Tak się mówi, prawda? Śnić na jawie. Nigdy się nad takimi rzeczami nie zastanawiałem. Zresztą nad innymi rzeczami też się nie zastanawiałem. Kto by tam miał czas i siłę, żeby się tak zastanawiać. Takie zastanawianie się to tylko męczy i rozprasza. Człowiek tak siedzi i się zastanawia, a robota stoi. A teraz się zastanawiam. Od tego obudzenia się nic tylko się zastanawiam. Będzie już ze dwa tygodnie. Zastanawiam się i zastanawiam. Jak to możliwe, żeby się obudzić i nie obudzić. Muszę się zastanawiać, rozumie pan, panie doktorze? Ponieważ sytuacja w jakiej się znalazłem jest zastanawiająca, właśnie taka jest: wielce zastanawiająca. Nigdy tak nie było, żeby coś było zastanawiające, skąd mam więc wiedzieć, co

począć i czy w ogóle coś poczynać? Bo może lepiej nic nie czynić, czekać, aż to minie... Co minie? Co ma minąć? Sen? Przecież nic mi się nie śni, przecież nie śpię, chociaż nie obudziłem się...

Wie pan, ja przez ten przymus zastanawiania się czuję się ograniczony w swych podstawowych prawach... I wychodzi mi z tego zastanawiania się, że to może być przez ten sen co to mi się śnił przed tym obudzeniem nieobudzeniem. Koszmar niekoszmarny. Tak, to też było dziwne. To, że ten sen, który winien być okrutnym koszmarem, wcale nim nie był. Nie potrafię określić co to było i jakie to było, nie potrafię tego nazwać, ani pojąć... Nawet i tej nagłej nieporadności w określaniu nie potrafię pojąć, nazwać i określić. To taka jakby bezradność wobec nieporadności. Rozumie pan?... Nie rozumie pan, ale pan zrozumie. Kiedyś pan zrozumie. Tak jak ja kiedyś zrozumieję co to było, czy to był sen, czy nie sen, czy coś innego. Ale co?... Wspomnienie. Tak bym powiedział. Sen-wspomnienie. Do pewnego momentu. Nagle, teraz, po tylu latach. Po ilu to już latach? Kto by je zliczył. Po co liczyć? Żeby się przerazić? Żeby się w jednym momencie zestarzeć? Jak to mawiają: poczuć na karku brzemień czasu... Tak mawiają?

Tak delikatnie? Nie, tak nie mawiają... Byłem na placu targowym. Wie pan gdzie to jest. Tam gdzie handlują ciężarówkami. Czyli ciągnikami siodłowymi. Tam się kiedyś handlowało końmi. Kilka stuleci tak handlowano. Jak pan tu nastał, to już nie handlowano końmi, tylko tymi ciągnikami. W sumie to to samo. To ciągnie i to ciągnie... Wtedy to ja ciągnąłem konia. W mroźny, ciemny, styczniowy poranek. Koń się zapierał. Miał rację – nie czekała go przecież świetlana przyszłość. Koń miał rację? Koń i racja? Od kiedy to koń ma rację? Od kiedy to istnieje coś takiego jak końska racja? Czy koń to obywatel, żeby mieć rację? Żeby mieć prawo do posiadania racji? Końska racja stanu – no koń by się uśmieł. I koń się śmiał. No to walnął go kijem. Nie będzie mi się koń opierał i jeszcze się ze mnie śmiał. Jak go tak walnąłem tym kijem, a kij był całkiem solidny, to z mroku, z tego galimatiasu szarych kształtów i plam rozmazanych kłębamii pary buchającej z ust i pysków, wyłoniła się ta wredna baba i wrzasnęła: Czego bijesz to zwierzę kijem? To ja jej odwarknąłem: A czym mam bić? Natychmiast, bez zastanowienia, żeby się bezczelnie nie wpychała, gdzie jej nie chcą... Pan doktor to pewnie myśli, że to ja

byłem bezczelny, że jej tak odpowiedziałem. A co miałem odpowiedzieć? Co odpowiedzieć na takie głupie pytanie? Łapsko już wtedy miałem jak bochen, ale nie uchodziłem za mocarza co to by jednym ciosem takie bydlę na ziemię powalił. A nawet gdyby, to i tak ręki szkoda. Bydlę to bydlę. Kij na takie bydlę w sam raz. Jak ulał. Baba na to nic. Obróciła się tylko to tych dwóch co z nią byli. Bo na pewno z nią byli. Nikt ich tu przedtem nie widział. Nie wyglądali na takich, co konie kupują. A ją znali wszyscy. Przeklęty babsztyl. Do wszystkiego się wtrącał... Wtrącał czy wtrącała? Jak by pan doktor powiedział? Jeśli babsztyl to wtrącał. Użycie czasownika w rodzaju męskim odbiera babsztylowi resztki kobiecości, degraduje ją. Tak samo jak to się dzieje z męskością chłopów kiedy mówimy *chłopy poszły*. No widzi pan doktor co się ze mną dzieje? Nad gramatyką się zastanawiam! Ja! Toż to czyste wariactwo. Choroba jakaś musi to być... Przyjeżdżała co tydzień, w każdy poniedziałek i tak łąziła po całym targowisku i wszędzie ten swój czarci nos wtykała. Bo to czarownica była. Powinni byli kupić jej miotłę, wsadzić w zad i odesłać na gołoborze. Albo jeszcze lepiej: wsadzić jej sprężarkę i napompować,

jak kiedyś napompowali krowę, żeby wyglądała na tłąstą, tylko że tego babsztyla trzeba było napompować znacznie, o znacznie bardziej, żeby się rozduła jak balon, i puścić, to poleciałaby hen za góry... Powinni, ale tego nie zrobili. Bali się. Kto by tam chciał zadzierać z czarownicą. A trzeba było. Bo to pewnie ona na mnie urok rzuciła. Wtedy. Urok z opóźnionym zapłonem, bo wybuchł dopiero teraz... Tamci dwaj coś szwargotali. Jeden był wysoki, a drugi niski i jakiś cherlawy, nawet w grubej kurtce wyglądał niczym suchotnik. Rękę szybko włożył do kieszeni. Coś chciał ukryć. Pewnie aparat. Ciągle przyprowadzała jakiś podejrzanym typów, co chcieli robić zdjęcia. Skaranie boskie i diabelskie z taką babą... Do tego momentu było dokładnie tak, jak było. Tak jak pamiętałem, że było. Lata mogły pozacierać szczegóły – sen mógł szczegóły wyostrzyźć, zniekształcić całą sytuację, ale tego nie zrobił. Sen zrobił co innego. Sen do mnie przemówił. Odezwał się głosem zupełnie nieokreślonym, pozbawionym namiętności i płci, lecz nie anielskim, które to anioły płci ponoć nie mają. Nie napłynął ten głos z żadnej strony, bo we śnie stron nie było. Nie usłyszałem go ani z zewnątrz

ani wewnątrz siebie, bo nie było żadnego wewnątrz i zewnątrz... Ciągle się zastanawiam, jak to powiedzieć i ciągle nie wiem, takie to było dziwne. Powiedziałem, że sen do mnie przemówił, ale to nie było tak. Powiem, że sen był głosem i to też nie będzie tak jak było, a było niesamowicie, aż ciarki szły po plecach. Niech będzie, że sen się odezwał, a ja usłyszałem-nie-usłyszałem: Musisz przeprosić konia. Musisz tego konia odnaleźć i go przeprosić... Zdumiewające, nie? Nie zdumiało to pana doktora? Bo mnie wcale. Ani ani. Przyjąłem to jako coś zupełnie normalnego – i dopiero to było zdumiewające. Więc najpierw byłem spokojny, zupełnie niewzruszony. Dopiero potem do mnie dotarło: teraz? po tylu latach? jak ja go znajdę? gdzie go mam szukać? przecież koń tak długo nie żyje, dawno został zjedzony, pochłonięty, rozłożony na białka, węglowodany, atomy i kto wie co tam jeszcze... – Musisz tego konia odnaleźć i go przeprosić – powtórzył sen... Wtedy obudziłem się i nie obudziłem. I nic już nie było i nie jest takie jak przed zaśnięciem, kiedy kładłem się do łóżka nieświadomy istnienia Wszechświata.

Sen jak sen. Różne dziwactwa śnią się ludziom. Jedni się nimi przejmują inni nie. Albo przejmują się przez jakiś czas, w potem o wszystkim zapominają. Też bym się nie przejmował, bo i co tu sobie głowę zaprzętać głupotami, gdyby nie to, że nijak nie mogłem otrząsnąć się z poczucia inności. Tak. Tak się czułem, jakbym się znalazł w innej rzeczywistości, świat wydawał mi się odmieniony. Albo może raczej zamieniony.

Taka łazienka. Niby taka sama jak wczoraj, a inna. Takie sikanie. Niby takie samo jak codziennie, a jakże inne. Bo do tej pory nigdy nie zastanawiałem się, skąd się te moje szczyny biorą i co się z nimi dalej dzieje. Mocz. Szczyny. Gówna. Kupa. Całe to sranie. Te szamba, gnojówki, komposty, nawozy. Zyszczy nam, spuści nam... Panie doktorze, pan to wie, dla pana to normalne, pan pewnie kiedyś też tak sobie myślał, że tu nos, tam ucho, tu wątroba, tam palec, a jeszcze gdzie indziej serce i że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, jakby każde swoim życiem żyło i w ogóle nie interesowało się niczym innym poza sobą, a potem okazało się, że wcale tak nie jest, że to wszystko jest ze sobą powiązane i jedno wpływa na drugie i jedno bez drugiego już tak

dobrze sobie nie radzi, chociaż serce bez palca sobie poradzi, ale palec bez serca już przecież nie. To i mnie tak się zaczęło wszystko układać i łączyć. Nagle wszystko zaczęło się ze sobą łączyć. Te puzzle czy jak je tam nazywają zaczęły się układać. Same. Ja mam przecież trochę za słaby wzrok i za grube palce. Ale nie tak, żeby od razu się ułożyły, o nie. To nie tak. To nie polegało na tym, że gdybym wziął jakiegokolwiek pudełko z układanką z tysiąca elementów i je otworzył, to w środku zobaczyłbym gotowy obrazek. Nie, nie. To się zaczynało układać. Nie to było jednak zadziwiające, zastanawiające, lecz to, że wszystko działo się bez mojej woli. Mówię panu, panie doktorze, to się działo jakby mimo mnie, obok, tak jak rzeka płynie obok... I ta rzeka, panie doktorze, wylała. Zaczęła się powódź. Straszna, okropna powódź. Świadomość istnienia Wszechświata zaczęła zalewać i topić nieświadomość, błogą, o jakże błogą nieświadomość istnienia. A powódź to chaos, pan przecież wie, niejedną powódź pan widział. Oto chaos świadomości zaczął unicestwiać porządek nieświadomości. To co było do tej pory oczywiste, tak oczywiste, że absolutnie i zupełnie niezastanawiające, przestało

być absolutnie i zupełnie niezastanawiające. Umysł mi się obudził i obudziły się wątpliwości, a do tej pory w nic nie wątpiłem. Lecz nie to było najgorsze. Umysł da się uśpić, usną wtedy i wątpliwości. Najgorsze miało dopiero nadejść. Niech pan słucha...

Załatwiłem się, spuściłem wodę i podszedłem do lustra. Oglądałem twarz, przyglądałem się sobie, sprawdzam czy ja nie jestem aby jakiś inny. Widzę, że nie. Te same zmarszczki, ta sama poranna szczecina, ten sam nochal, rysy ciosane siekierą, plamy na łysym czerepie. A jednak jakbym oglądał kogoś innego... Bo, panie doktorze, ja widziałem twarz. Nie gębę, nie głupi, tępy ryj, lecz twarz. Rozumie pan? Gęba zamieniła mi się w twarz. Otworzyłem usta... Bo zapomniałem panu powiedzieć, że odkąd się obudziłem-nie-obudziłem czułem jakąś suchość w gardle, coś mnie tam drapało. Przeziębilem się? Ja? Ja się przecież nie przeziębiałem, kataru nie miewałem, a na anginę, to chorowałem chyba w dzieciństwie, o ile w ogóle kiedykolwiek. No ale wiem, że jak się idzie do lekarza i lekarz zagląda w gardło, to się mówi wtedy **a**. Nie wiem dlaczego. Pan to wie, coś tam pewnie wtedy

lepiej widać. No to sobie pomyślałem, że otworzę usta przed lustrem i powiem **a**, to coś zobaczę, bo coś się odstłoni. No i mówię: aaaaaaaaa aaaaaaaaaa..... Nie jest łatwo zaglądnąć do własnej gardzieli. Próbował pan? Na pewno pan próbował. Widać niewiele, ale zawsze trochę. I to trochę było czerwone. Ha! Więc jednak. Zaczerwienie. Otworzyłem usta jeszcze raz. Tym razem nie dostrzegłem zaczerwienienia. Gardziel była różowa, jak to gardziel. Powiedziałem: aaaaaaa... i od razu się zaczerwieniła. Przystałem mówić i zaczerwienienie zniknęło. To pomyślałem, że powiem co innego. Na przykład **e**. I mówię: eeeeeee.... Patrząc, zaglądam, kręcę głową i nic nie widzę. **E** było bezbarwne. Próbuje dalej. Iiiiiiii... **I** też było bezbarwne. Wtedy zrozumiałem. To nie gardło było zaczerwienione. Ta **a** było czerwone. Zastanawiające. Nawet przerażające. No bo kto to widział, żeby **a** było czerwone?

Tak się zdziwiłem, że nawet mnie to nie przestraszyło. Ale kazało mi iść do pokoju. Poszedłem. Włączyłem telewizor. Pora śniadania. Będą gadać. I gadali. I wszystkie **a** które wymawiali były czerwone. Zamurowało mnie. Normalnie mnie, panie doktorze, zamurowało. Gapiłem się i gapiłem

w telewizor, w ogóle nie wiedziałem o czym rozmawiają, nic do mnie nie docierało, tylko widziałem te czerwone **a** wylatujące z ich ust... Aż na dole ekranu pojawił się pasek z informacjami. Nie wiem o co chodziło, bo nie czytałem. Ja tylko sprawdzałem jakiego koloru są litery **a**. I niech pan sobie wyobrazi, panie doktorze, że tam, na tym pasku wszystkie **a** też były czerwone.

Żeby się upewnić wziąłem starą gazetę, no nie taką starą, sprzed kilku dni, zapomniałem ją wyrzucić, **a** może zostawiłem, bo miałem coś w nią zapakować. Przed kilkoma dniami to była zupełnie normalna gazeta, **a** teraz już nie była normalna. W niej wszystkie **a** też były czerwone. Nie w tytułach, bo niektóre tytuły były kolorowe, bo to była tak zwana kolorowa prasa, **a**le teksty artykułów w takiej kolorowej prasie z reguły są czarne. Wtedy przemknęło mi przez głowę, że dobrze byłoby zaglądnąć do jakiejś książki i sprawdzić czy tam też **a** są czerwone. Musiałbym pójść do kogoś, **a**le bałem się. Już jakbym się zapytał o książkę, to by sobie pomyśleli, że zwariowałem, że mi na starość odbiło, **a** jakbym zapytał, czy oni też widzą wszędzie czerwone **a**, **a** co gorsza czy słyszą i mówią czerwone **a**, to przecież by pękli ze śmiechu.

Tak, panie doktorze, tak oto nadszedł dzień, w którym świat czarno-biały stał się kolorowy. Gorzej, znacznie gorzej. Okazało się, że świat zawsze był kolorowy, tylko ja tych kolorów nie widziałem. Powie pan, że powinienem się cieszyć? Wcale się nie cieszyłem.

Nadeszła noc. Położyłem się spać z nadzieją, że to będzie noc, w której świat z powrotem stanie się czarno-biały. Pocieszałem się, że we śnie nikogo nie dziwiłoby to, że słyszę i widzę i mówię czerwone a. Nie takie dziwy zdarzają się we śnie... Nic się nie wydarzyło. Nadzieja, jak to nadzieja zrodziła kolejnego głupiego, czyli mnie.

Przyszedł kolejny dzień, a świat stał się jeszcze bardziej kolorowy.

Spałem szybko, najszybciej jak się dało, zupełnie jakbym nie mógł się doczekać, kiedy się obudzę. Popędziłem do łazienki. Otworzyłem szeroko usta. Powiedziałem aaaaaaa i a było czerwone. Zamknąłem usta. Otworzyłem je ponownie i powiedziałem eeeeeee i e było zielone. Niestychane. Słyszał pan doktor kiedyś, żeby e było zielone? Nie. No właśnie... Tak jak poprzedniego dnia pobiegłem do pokoju i włączyłem telewizor. Coś mówili, o czymś opowiadali i wszystkie a, które

wypowiadali były czerwone, a wszystkie e były zielone. Sprawdziłem gazetę. Tę samą. Specjalnie jej nie wyrzuciłem. W niej e też pozieleniały.

Przez kilka dni starałem się mówić jak najmniej i jak najmniej słuchać. Z czytaniem było trochę trudniej, bo z niejakim zdumieniem spostrzegłem, że chce mi się czytać. Zresztą czytanie okazało się dosyć bezpiecznym sposobem sprawdzania postępów tej tajemniczej choroby... Bo to chyba choroba, panie doktorze. Bo co innego jak nie choroba? Pewnie jakiś wirus, przecież nie rak... Pojechałem do miasta, bo tu nie ma księgarni, wie pan przecież jaka to zapyziała dziura, kupiłem książkę. Nic nie musiałem mówić. Wszedłem, podszedłem do ustawionego na środku długiego stołu, wybrałem taką, która nie miała w tytule ani a ani e, potem do kasy, zapłaciłem i wyszedłem. Nie powiedziałem ani dzień dobry, ani dziękuję, ani do widzenia, zupełnie się tym nie przejmowałem, że mnie wezmą za skończonego chama, przejmowałem się przecież zupełnie czymś innym i nie chciałem, żeby inni też się tym zaczęli przejmować. Wróciłem do domu. Otworzyłem książkę i okazało się, że u było brązowe.

Potem, w miarę czytania, zżółkło i. Po i niebieskie zrobiło się o, co wydawało się dziwne, gdyż niebieski nie ma w sobie żadnego o. Dosyć szybko y stało się fioletowe, a pomarańczowe, a e seledynowe. Tak wyczerpały się samogłoski. Nastąpiła przerwa. Niemniej czytałem dalej, gdyż książka nawet mnie zaciękała. Tym bardziej, że wszystkie spółgłoski, jak i znaki interpunkcyjne, pozostawały czarne. I kiedy już zacząłem myśleć, że na tym się to skończy, że wnet a szernieje a z nim reszta samogłosek, potknąłem się o próg, kiedy szedłem do kuchni zrobić sobie herbatę, i z ust wyleciało mi granatowe rrrrrrrr... Wtedy postanowiłem, że pójdę do lekarza. Zadzwoniłem do przychodni i umówiłem wizytę. Musiałem czekać kilka dni i przez tych kilka dni sytuacja dramatycznie się pogorszyła. Czy polepszyła? Bo w miarę jak świat stawał się coraz bardziej kolorowy, w miarę jak wszechświat subtelniał i piękniał, a ja razem z nim, ogarniał mnie coraz większy lęk. Do tej pamiętnej, tragicznej nocy wiedziałem wszystko. Świat nie miał dla mnie tajemnic, a życie nie budziło żadnych wątpliwości. Od tego przebudzenia wiem coraz mniej, wszystko komplikuje się i gmatwa nie do zniesienia.

Świat mnie przeraża i zachwyca jak nigdy przedtem. A najgorszy ten koń, którego muszę przeprosić... I nie tylko ten. I nie tylko koń... To tyle. Opowiedziałem panu doktorowi wszystko, choć nie było to łatwe. Widzę, że dla pana doktora to też nie jest łatwe. Rozumiem, że musi się pan teraz zastanowić, co z tym wszystkim, co ze mną zrobić. Coś przecież zrobić trzeba. Nie można tego tak zostawić. Musi mnie pan ratować, panie doktorze, przecież nie da się żyć w takim rozmigotanym, mieniającym się świecie... Wyjdę i poczekam trochę, a pan pozbiera myśli. Nie będę panu przeszkadzał, bo pan nie będzie się mógł należycie skupić...

Drzwi się zamknęły. W gabinecie zapadła cisza. Pan doktor ogłuszony chrapliwym jazgotem zapadł się w fotel. Właściwie to rozlał się w nim – był tęgi, zdecydowanie za gruby, za miękki, za pulchny. Pocił się okrutnie, roztapiał, rozpuszczał. Bez wątpienia potrzebował chwili spokoju, by zebrać myśli. Musiał zastanowić się, gdyż sytuacja była zastanawiająca Chwila minęła. Pulchną, miękką dłonią podniósł telefon i połączył się ze Stosownymi Służbami Sanitarnymi.

- Chciałem zawiadomić, że z mojego gabinetu właśnie wyszedł pacjent zero – głos lekko mu drżał, a nie powinien.

- A kto mówi? – zapytały Stosowne Służby Sanitarne.

- No kto mówi? – ponowiły pytanie, gdyż w słuchawce dało się wyczuć pewne wahanie.

„Jak to, nie wiedzą kto mówi? Znowu nie zadziałał system automatycznej identyfikacji. Virus jakiś czy co?” – pomyślał pan doktor. Westchnął i tym razem już stanowczo i bez cienia niepokoju oznajmił:

- Mówi pacjent numer jeden.

ZOL

UFO wylądowało. Wreszcie. I przestało być UFO. Natychmiast po wylądowaniu stało się IFO. Czyli ZOLem: Zidentyfikowanym Obiektem Latającym. A raczej Lądującym. Wielbicie i zwolennicy UFO byli rozczarowani i niepokieszeni. Skrytykowali lądowanie, gdyż to zepsuło im całą zabawę tak pięknie trwającą od tylu lat, że nikt tych lat nie liczył, bo i tak by ich nie zliczył. IFO brzmiało zupełnie jak nazwa kolejnego produktu pewnej firmy cieszącej się niesłabnącą, niezrozumiałą i niezastężoną popularnością. Na szczęście IFO swym kształtem i rozmiarami przypominało śliwkę węgierkę. Było, jak ona, ciemnofioletowe.

To też było powodem rozczarowania. Jak bowiem dostrzec wielkość i potęgę w takiej małości? No nie da się. Po prostu się nie da. Nawet przy najszczęśliwszych chęciach, których i tak brakło. Brakło także chęci nieszczerych. Chociaż tyle – nikt niczego nie udawał. Przewaga Zolów była jednak ewidentna, więc nikt się im nie przeciwstawiał. Wszyscy czuli się dziwnie zniewoleni. Zniewoleni deliktnością. Jakby wszystkim zaaplikowano środek łagodzący obyczaje i na pewno nie chodziło o muzykę. Zolowie zachowywali się cicho i dyskretnie. Poprosili Ziemiaków, by ci

zgrupowali się w jednym, wyznaczonym i przygotowanym dla nich miejscu. Poprosili grzecznie, a Ziemiańskie do prośby się przychyliłi, nie mieli zresztą wyboru.

To również się nie spodobało. Zolowie powinni przecież przystawić do ludzkich skroni jakieś gustowne pistolety, militarne cacka o nieznannej tutaj konstrukcji i mocy, albo przynajmniej obiecać każdemu gratyfikację wynikającą z poniesionych wyrzeczeń. Okazało się jednak, że jedynym wyrzeczeniem była całkiem miła podróż, która sprowadziła się do niezauważalnego, bo natychmiastowego przeniesienia, trudno więc nazwać to wyrzeczeniem. Nikt się niczego nie musiał wyrzekać. Narzekali za to wszyscy. Na wszystko i na wszystkich.

Nie wiadomo czy Zolowie rozważali zastosowanie innego rozwiązania. Z jakichś, sobie tylko znanych powodów wybrali właśnie to, a przecież zważywszy ich wiedzę i potęgę, każde inne też wchodziłoby w grę. Trudno też posądzać ich o aż taką naiwność. Skoro wiedzieli co czynią, naiwność mieli pod pełną kontrolą.

Rozwinęli przed ludzkością ogromny ekran, na którym pokazali WSZYSTKO. To zadziwiające, że

na jednym ekranie w jeden dzień, a w zasadzie w jeden wieczór, da się pokazać WSZYSTKO. No cóż. Na tym polegała potęga Zolów. Wielkość ich małości. Na tym polegał zamysł Zolów: pokazać WSZYSTKO wszystkim. Żeby wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Co zrobili i co robią, jacy byli i jacy są. Żeby wiedzieli jak to jest ze sobą połączone, jak pogmatwane, jak nierozdzielne. A kiedy już wszystko zostało wyjaśnione, kiedy już wszystkie sekrety ujawnione i wiedza o wszystkim stała się powszechnie dostępna, Zolowie zwinęli ekran i oznajmili:

Teraz, kiedy już wiecie o sobie WSZYSTKO, wiecie jacy jesteście, wiecie co zrobiliście i nadal robicie sobie i światu, zastanówcie się co dalej. Pokazaliśmy wam przeszłość i teraźniejszość. Przemyślcie swoją przyszłość. I dajcie znać. Będziemy nasłuchiwać.

Wtedy na Ziemi zapadła głucha cisza. Na wieki...

Aż wreszcie czas minął. Miarka się przebrała. Zolowie zebrali się na naradę. Właściwie to nie musieli się zbierać, albowiem pozostawali ze sobą w stałym kontakcie – zrobili to z czystej przyjemności. Narada trwała tak krótko, że właściwie trudno uznać ją za naradę, tym bardziej, że wcale się nie naradzano. Nad czym tu się naradzać, skoro wszystko jest aż nadto jasne? Może z wyjątkiem jednej rzeczy: należało dokonać wyboru między usunięciem całkowitym, które symbolizowałaby litera **U** gdyby posługiwano się tam literami, a *zabiciem dechami*, któremu przypisano by znak **X**. Wybrano to drugie i wyboru tego nie ma co analizować ani komentować. Wyrażenie *świat zabity dechami* bardzo Zolom przypadło do gustu, a jak wiadomo z gustami się nie dyskutuje.

X

FUTURO

opowiadania
nie całkiem
fantastyczne

wymyślił napisał
zaprojektował
narysował złożył
przygotował
Radosław Nowakowski

© *copyright by*
Radosław Nowakowski
2020



LIBERATORIUM.COM